Tak, najprzyjemniej było
pisać książki o Emilu.
Ponieważ opisywałam w nich to wszystko,
co tata opowiadał mi o czasach,
kiedy był małym chłopcem.
Naprawdę, kiedy pisałam,
słyszałam jego głos.
Wszystkich tych zwariowanych historii
nie mogłam jednak włożyć w usta Lisy.
Lisy z Bullerbyn. Bohaterem musiał
być chłopiec. Nigdy przedtem
nie było mi tak wesoło jak wtedy,
gdy pisałam o Emilu. Kiedy skończyłam
ostatni rozdział, popłakałam się.
To było takie smutne,
że już nigdy więcej nie spotkam Emila
— wspomina Astrid Lindgren.



wiek: 5+

ISBN 978-83-10-11343-6



cena 12,90 zł



Wydawnictwo
NASZA KSIĘGARNIA
www.nk.com.pl

Astrid Lindgren Emil ze Smalandii

Astrid Lindgren



Emil ze Smalandii

NASZA KSIĘGARNIA

Astrid Lindgren

Emil ze Smalandii

Przełożyła
Irena Szuch-Wyszomirska

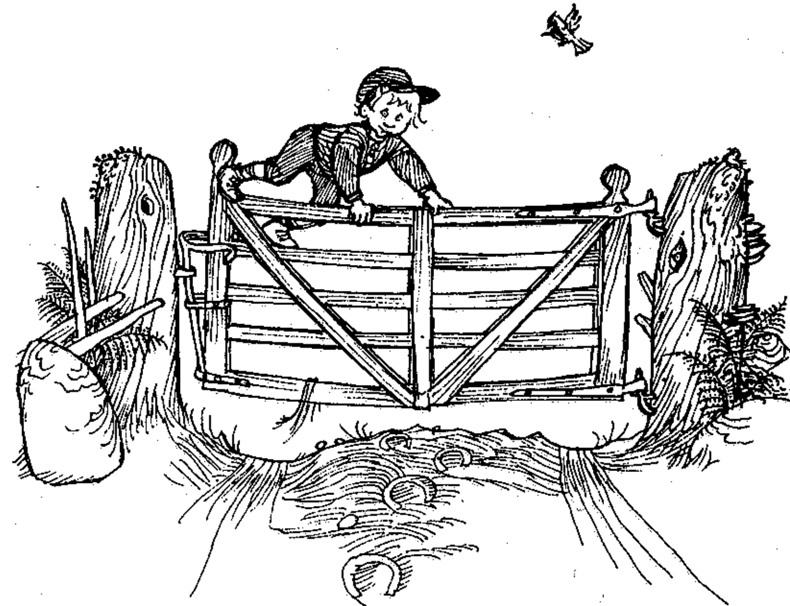
Ilustrował
Björn Berg



Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału szwedzkiego
Emil i Lönneberga
Rabén & Sjögren Bokförlag AB, Stockholm, Sweden

Projekt okładki
Agnieszka Tokarczyk



W Lönneberdze mieszkał chłopiec, który miał na imię Emil. Był dziki i uparty, nie tak grzeczny jak ty. Chociaż, należy przyznać, robił miłe wrażenie, kiedy się nie awanturował. Miał okrągłe, niebieskie oczy, okrągłą, rumianą twarz i jasne, kędzierzawe włosy. Wszystko to razem sprawiało, że Emil wyglądał jak prawdziwy aniołek. Ale pozory mylą.

Emil miał pięć lat, był silny jak młody byczek i mieszkał w zagrodzie Katthult we wsi Lönneberga w Smalandii. Miał ulubioną granatową czapkę z czarnym daszkiem, cyklistówkę, niezbyt ładną. Kupił mu ją kiedyś tatuś, gdy był w mieście. Emil,

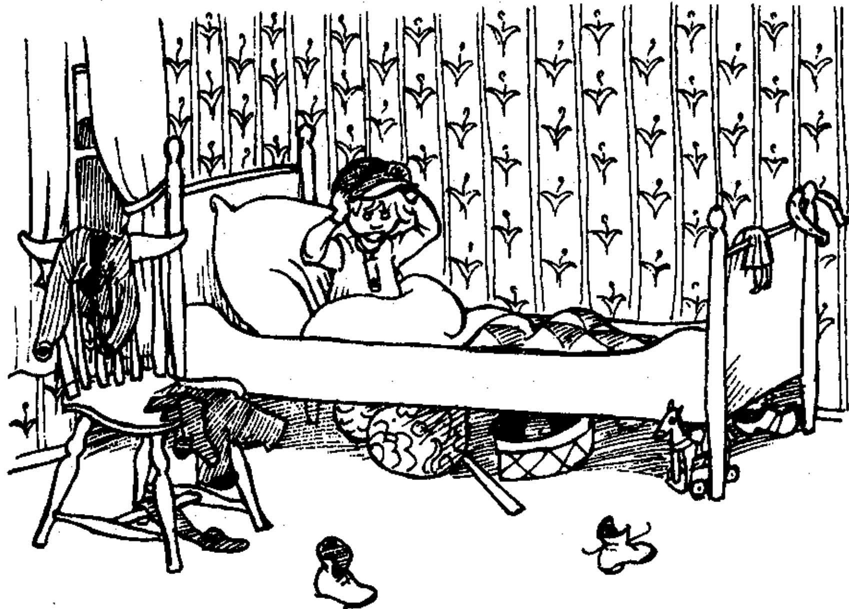
rzecz jasna, ucieszył się z czapki. A kiedy wieczorem miał się kłaść spać, powiedział:

– Chcę moją cyklistówkę!

Jego mama uważała jednak, że nie powinien brać czapki do łóżka, bo miejsce czapki jest na półce w sieni, ale Emil krzyknął wtedy tak, że było słychać w całej Lönneberdze:

– Chcę moją cyklistówkę!

I przez trzy tygodnie sypiał w czapce. Można i tak, chociaż takie spanie jest raczej niewygodne. Lecz najważniejsze, że Emil zawsze osiągał to, czego chciał. I był w tym skrupulatny. Przede wszystkim zaś jego mama nie osiągała tego, czego chciała.



Kiedyś mama usiłowała go nakłonić do zjedzenia fasolki szparagowej – ponieważ jarzyny są ogromnie pożywne. Ale Emil powiedział:

– Nie!

– Czy masz zamiar w ogóle nigdy nie jeść jarzyn? – spytała go mama. – Ani zieleniny?

– Chcę jeść – odrzekł Emil. – Ale prawdziwą zieleninę.



Po czym wsunął się cicho za choinkę – bo właśnie były święta – i zaczął ją obgryzać. Niebawem jednak zbrzydło mu to zajęcie, ponieważ pokłuł sobie wargi.

Taki uparty był ten Emil. Chciał rządzić mamą i tatusiem, i całą zagrodą Katthult, a najchętniej i całą wsią, na co jednak mieszkańcy Lönnebergi nie chcieli się zgodzić.

– Szkoda tych Svenssonów z Katthult, że mają takiego urwisa – mówili. – Z niego to nie wyrośnie nic dobrego.

Tak właśnie mówili mieszkańcy Lönnebergi. No, ale gdyby przewidzieli, co wyrośnie z Emila w przyszłości, nikt by się nie odważył gadać w ten sposób! Wystarczyłoby, gdyby przewidzieli tylko jedno: że Emil zostanie przewodniczącym rady

gminnej, kiedy dorośnie! Pewnie nie wiesz, co to znaczy być przewodniczącym rady gminnej, powiem tylko, że to ktoś najważniejszy we wsi.

Teraz jednak trzymajmy się raczej tego, co się zdarzyło, kiedy Emil był mały i mieszkał w zagrodzie Katthult w Lönneberdze w Smalandii. A mieszkał tam razem ze swoim tatusiem, Antonem Svenssonem, mamą, Almą Svensson, i z małą siostrzyczką, Idą. W Katthult był także parobek Alfred oraz służąca Lina. Bo w czasie kiedy

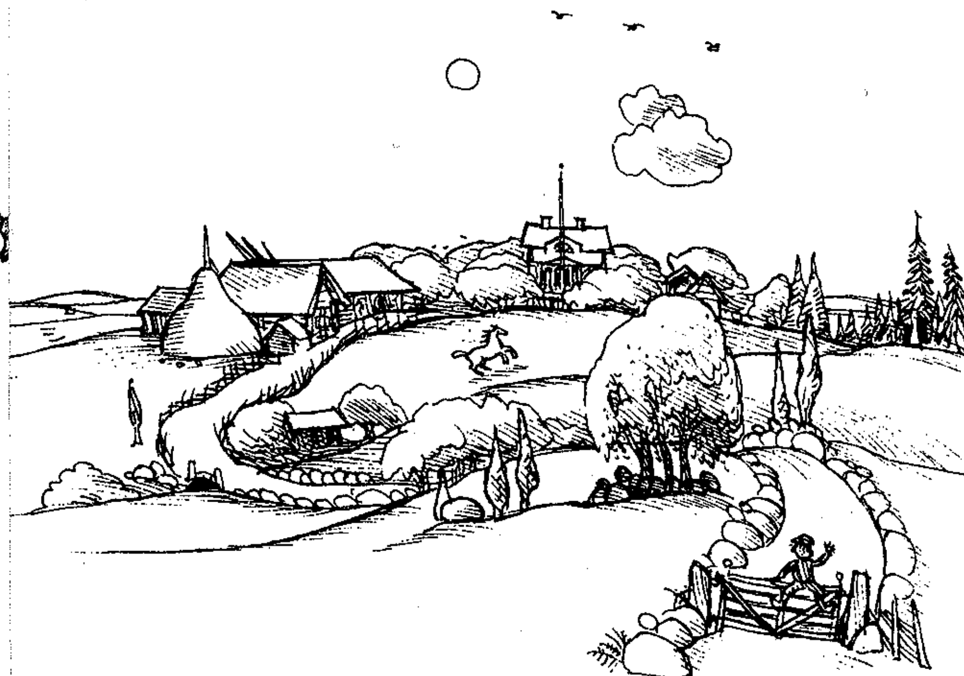


Emil był mały, istnieli jeszcze na wsi parobcy i służące, i to nie tylko w Lönneberdze. Parobcy orali, doglądali koni i wołów, zwozili siano, sadzili ziemniaki, dziewczyny zaś doiły krowy, zmywały naczynia, szorowały podłogi, prały bieliznę i śpiewały dzieciom.

Teraz już wiesz, kto mieszkał w zagrodzie Katthult: tatuś Anton, mama Alma, mała Ida oraz Alfred i Lina. Ponadto dwa konie, para wołów, osiem krów, trzy prosięta, dziewięć owiec, piętnaście kur, kogut, pies i kot. No i, oczywiście, Emil.

Katthult była to niewielka, ładna zagroda z pomalowanym na czerwono domem, stojącym na wzgórzu wśród rozłożystych jabłoni i bzów. Wokoło ciągnęły się pola, łąki i pastwiska, i jezioro, i wielki, wielki las.

I byłoby z pewnością w Katthult cicho i spokojnie, gdyby nie Emil.



– Jemu to tylko psoty w głowie – mówiła Lina. – A jak sam nie psoci, to i tak zawsze coś się przez niego stanie. Nigdy w życiu nie widziałam podobnego dzieciaka.

Ale mama Emila brała go w obronę.

– Nie jest z nim tak źle – mówiła. – Dzisiaj tylko raz uszczypnął Idę, a potem wylał śmietankę, co miała być do kawy, to wszystko... No i gonił kota dookoła kurnika, to prawda! W każdym razie uważam, że zaczyna być coraz grzeczniejszy i spokojniejszy.

Emil nie był złośliwy, tego w żadnym wypadku nie można powiedzieć. Bardzo lubił i Idę, i kota.



Ale musiał lekko uszczypnąć Idę, bo inaczej nie dałaby mu przecież swojej kromki chleba z syropem, a kota gonił po przyjacielsku, tylko żeby sprawdzić, czy umie uciekać szybko. Choć, oczywiście, kot tego nie rozumiał.



7 marca był dniem, kiedy Emil był taki grzeczny, że raz tylko uszczypnął Idę i wylał śmietankę. A teraz usłyszysz o kilku innych dniach z życia Emila, kiedy wydarzyło się o wiele więcej, czy to dlatego, że miał wtedy „tylko psoty w głowie”, jak mówiła Lina, czy też dlatego, że po prostu z nim zawsze się coś działo. Zacznijmy więc...

Wtorek 22 maja,

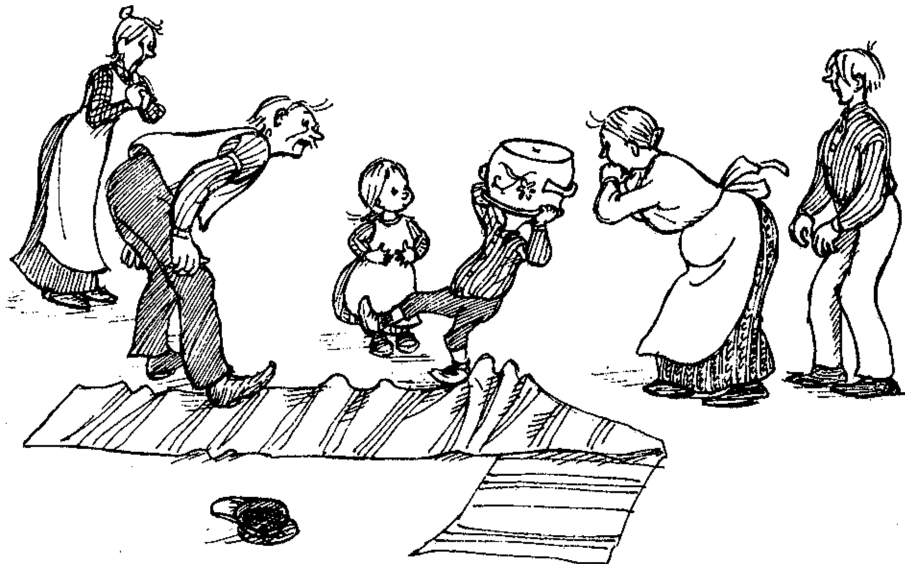
kiedy to Emil wsadził głowę do wazy z rosołem

Owego dnia w Katthult na obiad był rosół. Lina wlała rosół do wazy w kwiatki. Wszyscy siedzieli wokół kuchennego stołu i zajadali, a zwłaszcza Emil, który głośno chłeptał, bo lubił rosół.

– Czy musisz tak siorbać? – spytała mama.

– Inaczej nie wiadomo, że to zupa – odpowiedział Emil.

Wszyscy więc jedli, ile kto chciał, aż wazę opróżniono. Pozostał tylko mały, malutki łyczek na dnie. Emil chciał ten łyczek wypić, a jedynym sposobem,



aby się do niego dobrać, było wsadzenie głowy do wazy i wysiorbanie owego łyczka. I Emil tak zrobił; wszyscy doskonale usłyszeli, jak sobie siorbie tam w środku. Potem jednak Emil chciał wyciągnąć głowę i, czy to do pomyślenia, ani rusz nie mógł! Utknął w niej. Wystraszony zerwał się od stołu i stał z głową w wazie jak w kadzi. Wpadła mu głęboko na oczy i uszy. Emil szarpał się i wrzeszczał.

Lina też się przestraszyła.

– Nasza piękna waza! – lamentowała. – Nasza piękna waza w kwiatuszki! I w co tu teraz nalewać zupę?

Bo skoro w wazie tkwił Emil, nie można było nalać w nią zupy, tyle Lina rozumiała, chociaż na ogół nie rozumiała zbyt wiele.

Ale mama Emila myślała raczej o Emilu.

– Moi drodzy, ale jak my teraz wydostaniemy chłopca? Trzeba będzie wziąć pogrzebacz i rozbić wazę!

– Czyś ty rozum straciła, kobieto? – powiedział tatuś Emila. – Kosztowała przecież cztery korony!

– Może ja spróbuję – odezwał się Alfred, który był rosłym i silnym parobkiem. Chwycił wazę za oba ucha i pociągnął w górę z całej siły, ale



cóż to pomogło? Emil podniósł się razem z wazą, bo naprawdę mocno w niej tkwił. Wisiał więc i wymachiwał nogami, żeby się znowu znaleźć na podłodze.

– Przestań... postaw mnie... przestań, mówię ci! – krzyczał.

Alfred go postawił, a wszyscy bardzo się zasmucili. Stali wokół Emila i zastanawiali się – tatuś Anton, mama Alma, mała siostrzyczka Ida, Alfred i Lina. Nikt jednak nie mógł wpaść na pomysł, jak nieszczęsnego Emila wydobyć z wazy.

– O, popatrzcie, Emil płacze – powiedziała mała Ida, wskazując na dwie wielkie łzy, które wypłynęły spod wazy.

– Wcale nie płaczę – zaperzył się Emil. – To przecież rosół.

Zuchwały był jak zwykle ten chłopak, ale zbyt wesoło chyba mu nie było z głową w wazie. A pomyślcie, jeżeli nigdy się z niej nie wyswobodzi? Biedny Emil, kiedy w takim razie będzie mógł włożyć swoją cyklistówkę?

Mamie Emila okropnie żal było synka. Znów chciała wziąć pogrzebacz, aby rozbić wazę, lecz tatuś Emila zaprotestował:

– Nigdy w życiu! Ta waza kosztowała cztery korony. To już raczej jedźmy do doktora w Mariannelund. Z pewnością potrafi ją ściągnąć. Bierze tylko trzy korony, w ten sposób zarobimy koronę.

Mama Emila uznała, że to dobry pomysł. Nie co dzień przecież można zarobić całą koronę. A pomyśleć tylko, ile przyjemnych rzeczy można by za nią kupić. Może coś dla małej Idy, która musi zostać w domu, podczas gdy Emil pojedzie bryczką.

W Katthult zapanował rwetes. Emila należało oporządzić, umyć i ubrać w najlepsze ubranie. Nie można go było, oczywiście, uczesać ani umyć mu uszu, choć to akurat przydałoby się bardzo. Mama Emila starała się co prawda wcisnąć palec pod wazę, aby choć trochę oczyścić mu uszy, ale omal się to źle nie skończyło, gdyż i jej ręka ugrzęzła w wazie.

– No i znowu – powiedziała mała Ida, a tatuś Emila rozgniewał się na dobre, chociaż zwykle był łagodny.

– Nie ma tu jeszcze kogoś, kto chce się wcisnąć w wazę?! – krzyknął. – Jeżeli tak, to proszę



bardzo! Nie krępujcie się! Wezmę wóz drabiniasty i całe Katthult zawiozę do doktora w Mariannelund.

Ale mama Emila szarpnęła mocno rękę i wydobyła palec.

– Nie będziesz musiał myć sobie uszu, synku – stwierdziła, dmuchając na palec.

Wtedy tuż pod brzegiem wazy ukazał się pełen zadowolenia uśmiech i Emil powiedział radośnie:

– Pierwszy prawdziwy pożytek, jaki mam z tej wazy!

Po chwili Alfred zajechał przed ganek i Emil wyszedł, aby wsiąść do bryczki. Był tak wytworny w swoim niedzielnym ubraniu w prążki, w czarnych

trzewikach zapinanych na guziczki i w wazie! No tak, być może waza wyglądała trochę niezwykle, chociaż była bardzo ładna, w kwiatki, i właściwie robiła wrażenie czegoś w rodzaju nowomodnego letniego kapelusza. Jedno tylko można było mieć zastrzeżenie: że kapelusz nieco za głęboko zachodził Emilowi na oczy.

Wyruszono zatem do Mariannelund.

– Tylko uważaj na Idę, kiedy nas nie będzie! – zawołała mama Emila do Liny.

Mama siedziała na koźle obok tatusia Emila. Z tyłu usadowił się Emil z głową w wazie. Tuż obok leżała jego cyklistówka. Musiał przecież mieć coś na głowie także w drodze powrotnej. Pomyśl, jak to dobrze, że o tym pamiętał!

– A co mam zrobić na kolację? – krzyknęła Lina, kiedy bryczka ruszyła w drogę.

– Zrób, co chcesz! – odpowiedziała mama Emila. – Nie mam teraz do tego głowy!

– To ugotuję rosołu! – zawołała w odpowiedzi Lina. Ale w tej samej chwili spostrzegła, że coś kwiecistego znika za zakrętem, i przypomniała sobie, jak się sprawy mają, więc z pewnym smutkiem zwróciła się do Alfreda i małej Idy:

– No, dzisiaj na kolację to będziemy mieli chleb razowy z boczkiem.



Emil już kilka razy jeździł do Mariannelund. Lubił siedzieć wysoko na koźle i patrzeć na wijącą się drogę i na mijane zagrody, i na dzieci, które mieszkały w tych zagrodach, i na psy szczekające przy furtkach, i konie, i krowy, które pasły się

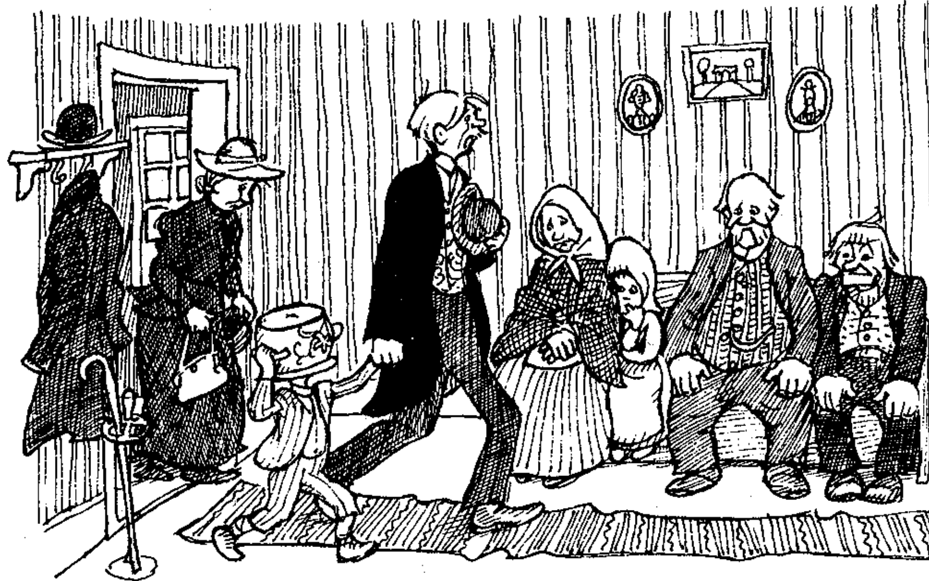
na łąkach. Teraz jednak nie było mu zbyt wesoło. Siedział z wazą mocno wciśniętą na oczy i widział jedynie kawałek swoich trzewików zapinanych na guziczki. Tyle tylko mógł dojrzeć w wąskiej szparce pod brzegiem wazy. Przez całą drogę musiał pytać tatusia:

– A gdzie my teraz jesteśmy? Minęliśmy już miejsce naleśnikowe? A do prosiakowego miejsca jeszcze daleko?

Emil bowiem nadał swoje własne nazwy wszystkim zagrodom leżącym wzdłuż drogi. Miejsce naleśnikowe nazywało się tak dlatego, że kiedyś przy furtce, właśnie gdy Emil przejeżdżał, stało dwoje grubych dzieciaków i zajadało naleśniki. A prosiakowe miejsce wzięło nazwę od śmiesznego, różowego prosięcia, które Emil czasami drapał po grzbiecie. Teraz jednak Emil siedział ponury i spoglądał na własne trzewiki. Ani naleśników, ani prosięcia nie mógł zobaczyć, nic więc dziwnego, że się naprzykrzał:

– Gdzie teraz jesteśmy? Kiedy do tego Mariannelund przyjedziemy?

Kiedy Emil w wazie wszedł do poczekalni doktora, było tam pełno ludzi. I wszystkim od razu zrobiło się ogromnie żal Emila. Rozumieli, że przytrafiło mu się nieszczęście. Jedynie pewien



złośliwy staruszek wprost pękał ze śmiechu, jakby było coś zabawnego w tym, że ktoś utkwił głową w wazie.

– Cheche! – zaśmiał się staruszek. – Uszy ci marzną, chłopcze?

– Nie – odparł Emil.

– Nie? Po co więc masz na sobie to naczynie? – spytał staruszek.



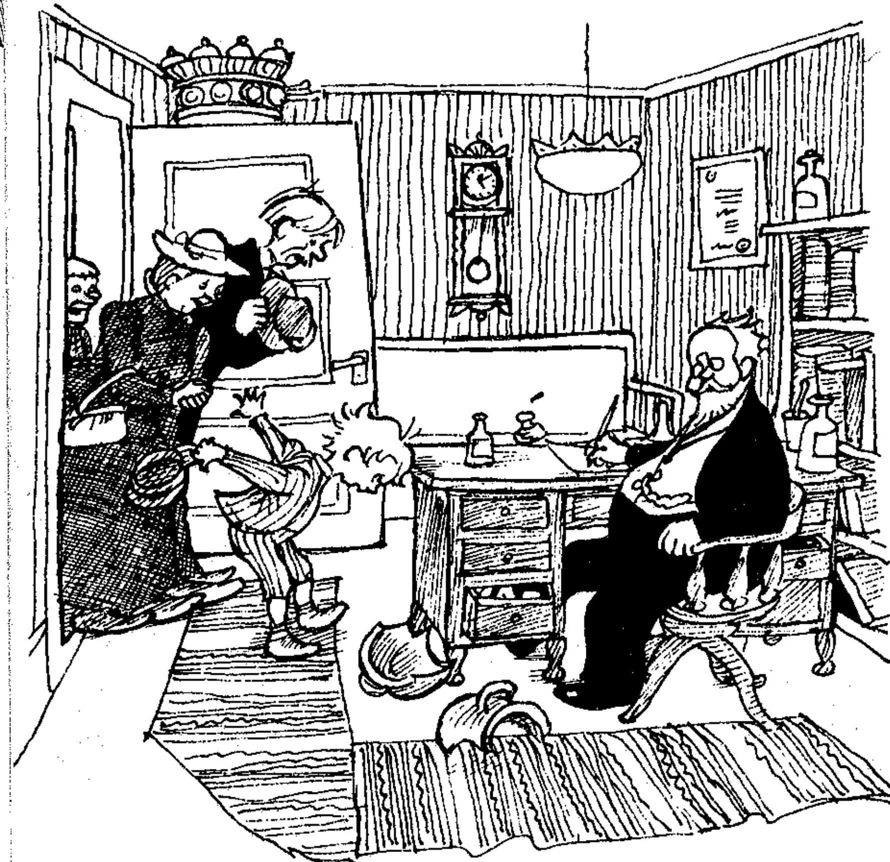


– Bo inaczej toby mi uszy marzły – odrzekł Emil. On też, chociaż mały, potrafił być naprawdę dowcipny.

Potem Emil wszedł do doktora, a doktor się z niego nie śmiał, tylko powiedział:

– Dzień dobry! A co tam robisz w środku?

Emil nie mógł zobaczyć doktora, ale przecież musiał się z nim przywitać, ukłonił się więc tak głęboko, jak tylko potrafił, mimo że miał głowę



w wazie. Rozległ się brzęk i przepołowione naczynie gruchnęło na ziemię. A to dlatego, że Emil bardzo mocno stuknął głową o biurko doktora.

– Już po czterech koronach – powiedział cicho tatuś Emila do jego mamy. Ale doktor to usłyszał.

– I tak zarobiliście koronę – rzekł. – Zwykle biorę pięć koron za wyjęcie takiego chłopaczka z wazy. A on sam to załatwił!

Tatuś Emila ucieszył się; wdzięczny był synkowi, że rozbił wazę i zarobił koronę. Szybko zabrał stłuczoną wazę, skinął na Emila i mamę i pożegnał doktora. Kiedy znaleźli się na ulicy, mama Emila powiedziała:

– Pomyślcie, znów zarobiliśmy koronę! Co za nią kupimy?



– Nic się kupować nie będzie – odrzekł tatuś Emila. – Zaoszczędzimy ją. Emilowi się jednak słusznie należy pięć öre, żeby mógł je w domu włożyć do swojej skarbonki.

Od razu wyjął monetę z portmonetki i wręczył ją synkowi. Zgadnijcie, czy Emil się ucieszył!

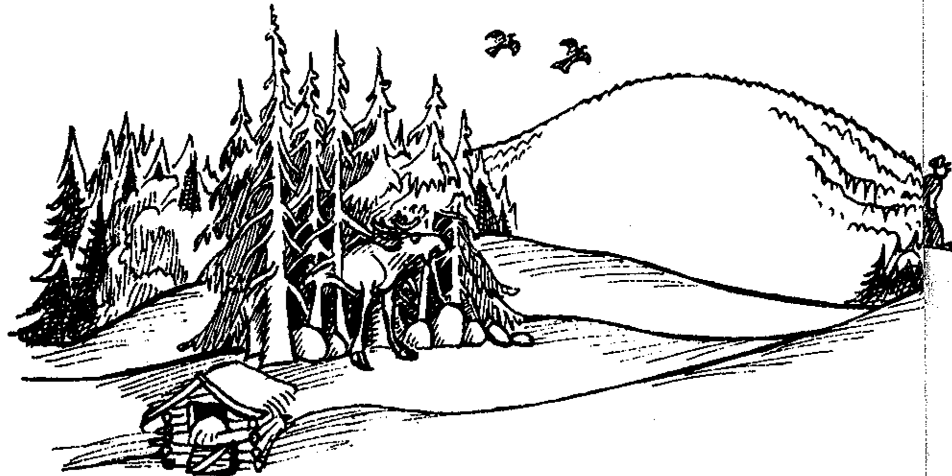
I znowu ruszyli w drogę do domu do Lönnebergi. Emil siedział na tylnym siedzeniu ogromnie uradowany, z pieniążkiem w garści i w swojej cyklistówce na głowie, i patrzył na wszystkie dzieci, psy, konie, krowy i prosięta, które mijali. Gdyby Emil był zwyczajnym chłopcem, to najprawdopodobniej nic więcej już by się nie wydarzyło tego dnia. Ale Emil nie był zwyczajnym chłopcem – i zgadnijcie, co zrobił! Ni stąd, ni zowąd wpakował sobie pieniążek do ust i właśnie kiedy mijano prosiakowe miejsce, z tylnego siedzenia rozległ się cichy bulgot. To Emil połknął pięć öre.

– Oj! – zawołał. – Jak to prędko poszło!

Mama Emila od nowa zaczęła lamentować:

– Och, jak my teraz wydostaniemy z niego te pięć öre? Trzeba wracać do doktora!

– Mamy zapłacić doktorowi pięć koron, żeby odzyskać pięć öre? – spytał tatuś Emila. – Ile ty miałaś z rachunków, kiedy chodziłaś do szkoły?



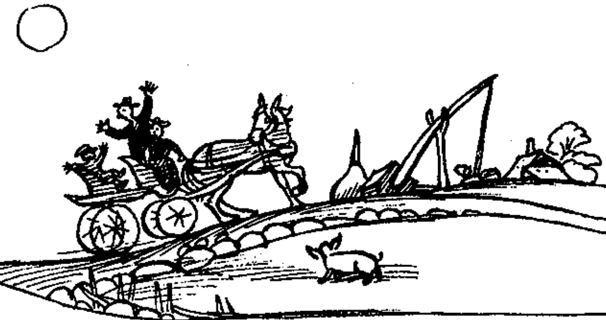
Emil odniósł się do całej sprawy ze spokojem. Poklepał się po brzuchu i powiedział:

– Mogę być skarbonką sam dla siebie i trzymać swoje pięć öre w brzuchu zamiast w domowej skarbonce. Bo z niej też nic wyjąć nie można. Próbowałem nożem kuchennym, więc wiem.

Lecz mama Emila nie ustępowała. Chciała wracać z Emilem do doktora.

– Nic nie mówiłam, kiedy połknął wszystkie guziki od spodni – przypomniała tatusiowi Emila – ale pieniążek jest bardziej niestrawny, i wierz mi, że to się może źle skończyć!

Tak dalece udało jej się nastraszyć tatusia Emila, że zawrócił konia i pojechał z powrotem do Mariannelund. Bo właściwie tatuś Emila też się bał o swojego synka.



Wpadli zdyszani do doktora.

– Czyście czegoś zapomnieli? – spytał doktor.

– Nie, tylko Emil zjadł pięcioörówkę – wyjaśnił tatuś Emila. – Więc może pan doktor zechce zoperować go trochę... tak za jakieś cztery korony... pięć öre też proszę zatrzymać.

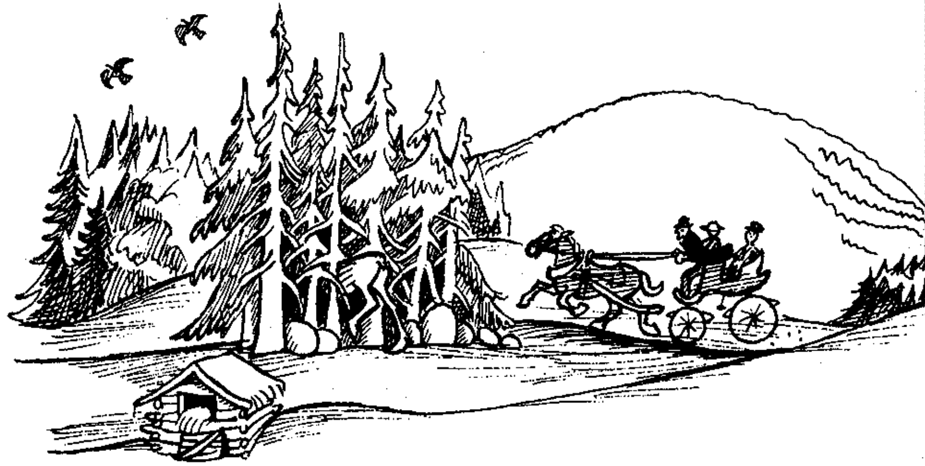
Ale Emil schwycił swego tatę za połę płaszcza.

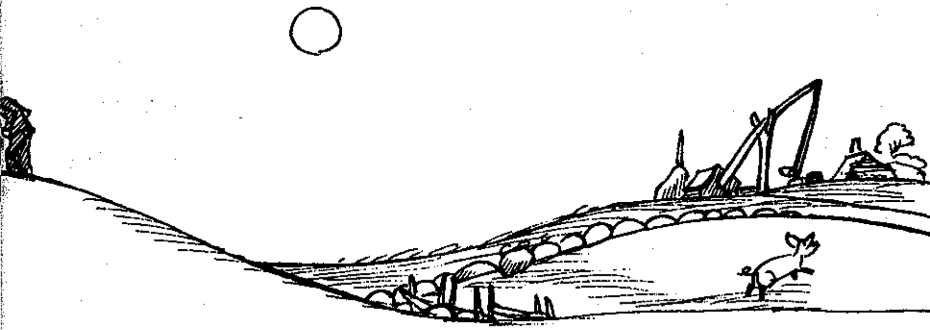
– Nawet nie próbuj! To moja pięcioörówka...

Doktor nie zamierzał jednak zabierać Emilowi jego pięciu öre i powiedział, że operacja jest niepotrzebna. Moneta i tak się znajdzie za parę dni.

– Możesz sobie zjeść z pięć maślanych bułeczek – dodał na koniec.







– Pieniążek będzie mieć towarzystwo i nie pokaleczy ci żołądka.

To był niezwykły doktor; nie wziął też zapłaty. Tatuś Emila był tak zadowolony, że aż promieniał, gdy znów znalazł się na ulicy wraz z Emilem i jego mamą.

Mama Emila chciała natychmiast pójść do „Piekarni Domowej Panien Andersson", żeby kupić Emilowi pięć maślanych bułeczek.

– Mowy nie ma! – oświadczył tatuś Emila. – Przecież mamy bułeczki w domu.

Emil zastanawiał się przez chwilę. A że umiał wyliczyć to i owo i był głodny, powiedział:

– Mam ukryte pięć öre i gdybym tylko mógł je wydostać, sam bym sobie kupił bułeczki.

Zastanawiał się jeszcze chwilkę, po czym spytał:

– Czy nie mógłbyś mi, tato, pożyczyć pięciu öre na kilka dni? Zwrócę je, to pewne jak dwa razy dwa cztery.

Wtedy tatuś Emila poddał się i wszyscy troje poszli do „Piekarni Domowej Panien Andersson", i kupili pięć bułeczek dla Emila, bardzo dobrych bułeczek, okrągłych, rumianych i posypanych cukrem. Emil zjadł je w mgnieniu oka.

– To najlepsze lekarstwo w życiu, jakie dostałem – powiedział.

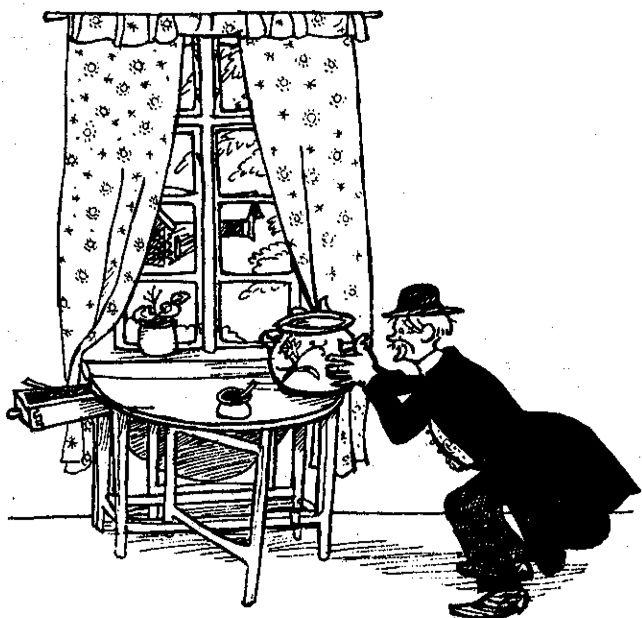


A jego tatuś tak się nagle rozochocił, że nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, oświadczył radośnie:

– Zyskaliśmy dziś jednak wiele! – i bez wahania kupił pięć długich pasiastych cukierków dla Idy, która została w domu.

Zauważ, że wszystko to działo się w tym czasie, gdy dzieci nie bardzo dbały o swoje zęby, takie były nieroztropne i głupiutkie. Dziś jednak dzieci w Lönneberdze nie jedzą cukierków, ale mają za to zdrowe zęby.

Potem wrócili do Katthult. Tatuś Emila ledwie przestąpił próg, jeszcze w płaszczu i w kapeluszu, skleił wazę. Nie była to zbyt wielka sztuka, waza





rozleciała się tylko na dwie części. Lina tak się ucieszyła, że aż podskoczyła i zawołała do Alfreda, który właśnie wyprzęgał konia:

– Teraz znowu będziemy mieli rosół w Katthult!

Ona w to wierzyła, ta Lina. Musiała widocznie zapomnieć, jaki jest Emil!

Tego wieczoru Emil niezwykle długo bawił się z małą Idą. Na pastwisku wybudował jej domek z kamieni. Domek był ładny i podobał się Idzie. Emil szczypał ją nie za mocno za każdym razem, kiedy chciał, aby mu oddała różowy, pasiasty cukierek.

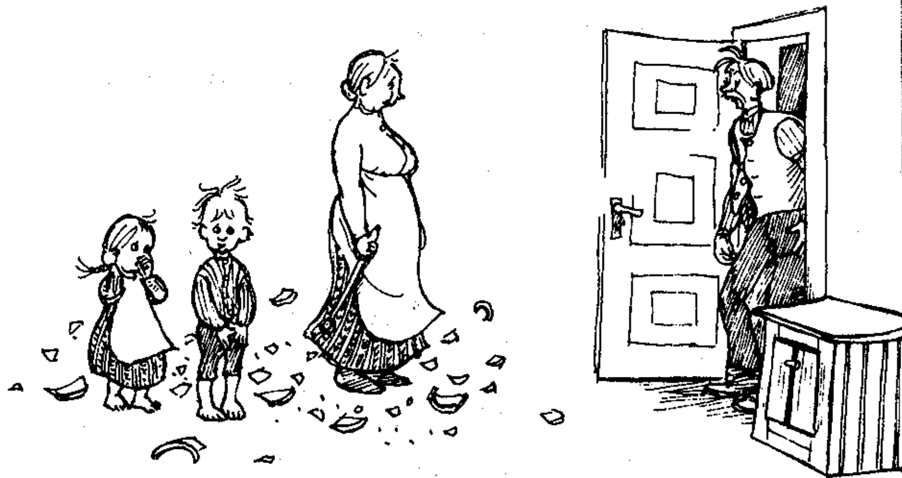
A kiedy zaczęło się ściemniać, Emil i mała Ida postanowili wrócić do domu i położyć się spać. Weszli do kuchni, aby zobaczyć, czy jest tam ich mama. Mamy nie było. W ogóle nie było tam nikogo. Tylko waza do zupy. Stała na stole, sklejona i piękna. Emil i mała Ida przystanęli, żeby się przyjrzeć tej niezwykłej wazie, która przez cały dzień nieźle się napodróżowała.

– Pomyśleć tylko, była aż w Mariannelund! – westchnęła mała Ida i dodała: – Jak tyś to zrobił, Emil, że ci głowa weszła w wazę?

– Och, to żadna sztuka – odrzekł Emil. – Zrobiłem to tak: patrz...

W tym momencie do kuchni weszła mama i co pierwsze rzuciło jej się w oczy? Emil. Stał z głową w wazie i usiłował się z niej wydostać. Mała Ida krzyczała, Emil też, tkwił bowiem w wazie równie mocno jak poprzednio.

Wówczas mama Emila wzięła pogrzebacz i grzmotnęła nim w wazę, aż się rozległo w całej Lönneberdze. Trzask! I waza rozpadła się na tysiąc kawałków, a skorupy opadły na Emila jak deszcz.



Tatuś Emila był właśnie w owczarni, ale usłyszał hałas i przybiegł pędem do domu.

Stanął w progu kuchni. Stał tam w milczeniu i patrzył na Emila, na skorupy i pogrzebacz, który mama Emila trzymała w ręku.



Nie powiedział ani słowa. Odwrócił się tylko i poszedł z powrotem do owczarni.

Dwa dni później otrzymał od Emila pięć öre, co stanowiło jednak pewną pociechę.

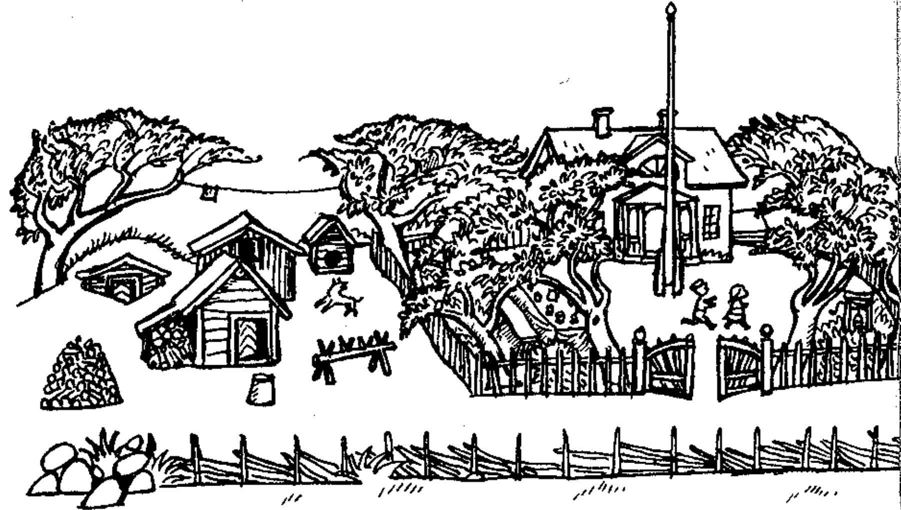


Tak, teraz już wiesz mniej więcej, jaki był Emil. Ta historia z wazą wydarzyła się we wtorek 22 maja. Lecz może zainteresuje cię także...

Niedziela 10 czerwca,

kiedy to Emil wciągnął na maszt małą Idę

W niedzielę 10 czerwca w Katthult miało się odbyć przyjęcie. Spodziewano się licznych gości

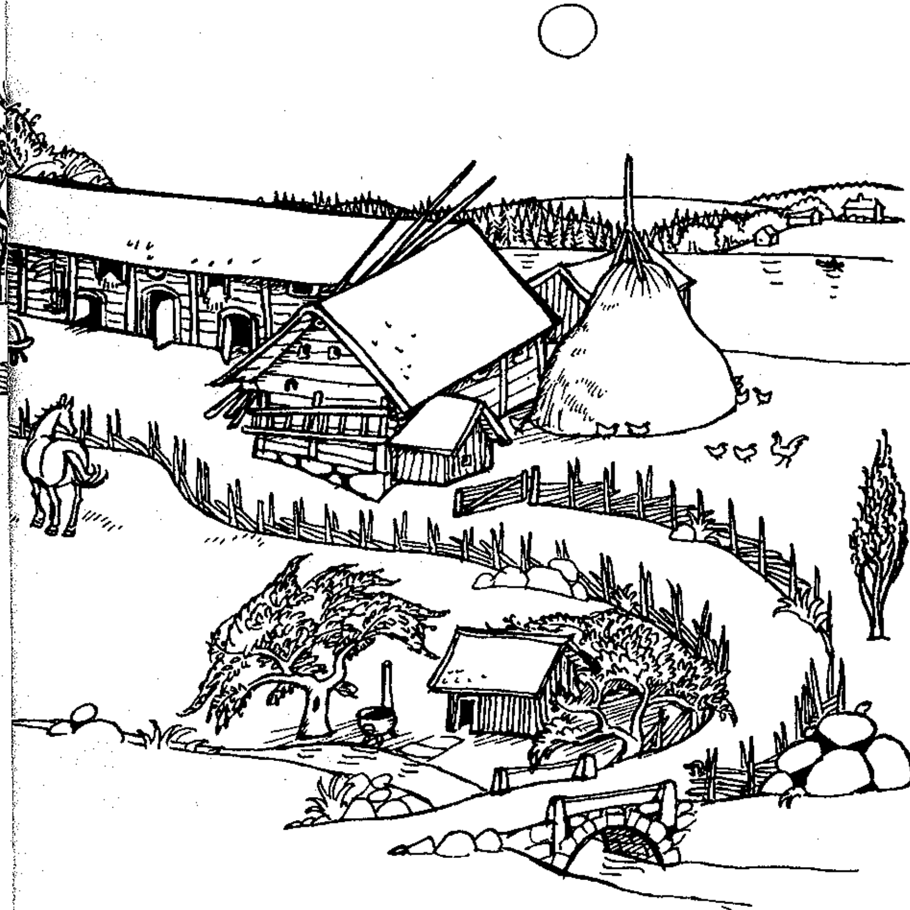


zarówno z Lönnebergi, jak i z innych miejscowości. Już od kilku dni mama Emila przygotowywała jedzenie.

– To będzie drogo kosztować – powiedział tatuś Emila. – Ale skoro ma być przyjęcie, to niech będzie porządne. Żadnego skąpstwa! Chociaż klopsiki można by zrobić trochę mniejsze!

– Zrobię takie, że będą w sam raz – odpowiedziała mama Emila. – W sam raz duże, w sam raz okrągłe i w sam raz przyrumienione.

Takie właśnie zrobiła. A ponadto przygotowała również żeberka i roladę cielęcą, sałatkę śledziową i śledzia marynowanego, szarlotkę i gotowanego węgorza oraz różnego rodzaju duszone mięsa



i suflety, a także dwa olbrzymie serniki i specjalny rodzaj kiełbasy tak dobrej, że ludzie chętnie odbywali daleką drogę z Vimmerby i z Hultsfred, żeby jej skosztować.

Emil też bardzo lubił tę kiełbasę.

Dzień był rzeczywiście odpowiedni na przyjęcie. Słońce świeciło, bzy i jabłonie kwitły, w powietrzu słyszało się ptasi świergot, a Katthult, dom i całe wzgórze, było piękne jak sen. Podwórze świeżo wygracowane, wszystkie kąty w domu wyszorowane, jedzenie gotowe, niczego nie brakowało. Chociaż nie, brakowało jednej rzeczy!

– Och, zapomnieliśmy przecież wciągnąć flagę na maszt! – zawołała w pewnej chwili mama Emila.



To podniosło na nogi Emilowego tatusia. Ruszył w kierunku masztu, a tuż za nim Emil i ma-



ła Ida. Chcieli także zobaczyć, jak flaga będzie jechała w górę.

– Zdaje mi się, że przyjęcie będzie wesołe i udane – powiedziała mama Emila do Liny, kiedy zostały same w kuchni.

– A czy w takim razie nie byłoby najlepiej zamknąć Emila na klucz? – spytała Lina.

Mama Emila spojrzała na nią z wyrzutem, ale nic nie odpowiedziała. Lina pokręciła głową i burknęła ze złością:

– Jeśli o mnie chodzi, to jak tam sobie chcecie!

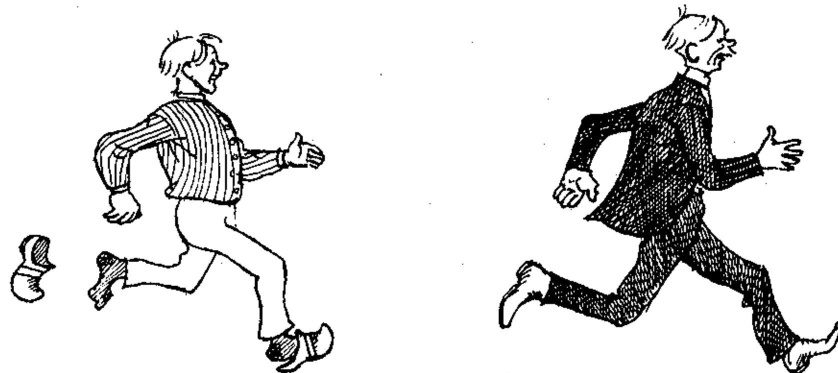
– Emil jest kochanym chłopaczkiem – stwierdziła mama bardzo stanowczo. Widziała przez okno kuchni, jak jej kochany synek biega i bawi się ze swoją małą siostrzyczką. Jej zdaniem, wyglądali oboje niezwykle pięknie – jak dwa aniołki. Emil w niedzielnym ubranku w prążki i w czapce z daszkiem na kędzierzawej głowie, Ida zaś w nowej, czerwonej sukieneczce z białym paskiem na okrągłym brzuszku.

Mama Emila uśmiechnęła się. Potem, spojrzawszy z niepokojem na drogę, powiedziała:

– Żeby tylko Anton zdążył wciągnąć flagę na maszt, bo goście mogą tu być lada chwila.

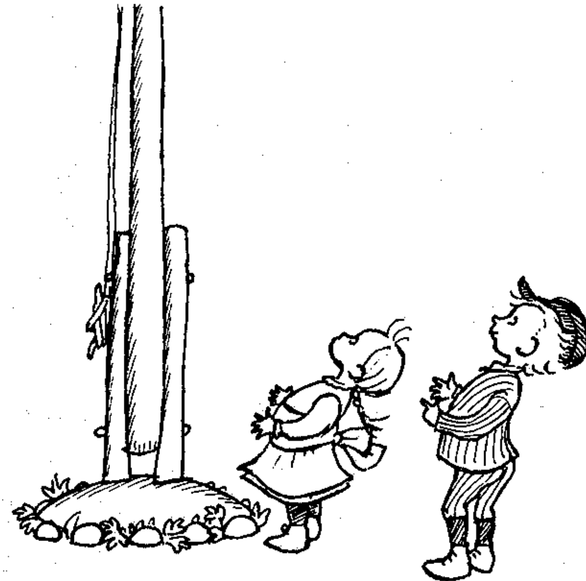
Wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze. Ale pomyślcie tylko, co za pech: właśnie gdy tatuś Emila pociągał za sznur od flagi, z podwórza nadbiegł Alfred i zawołał:

– Krowa się cieli, krowa się cieli!



Chodziło oczywiście o Krasulę. Cóż to za podstępne zwierzę, musi się cielić akurat teraz, kiedy jest tyle innych pilnych spraw, a flaga właśnie ma być wciągana na maszt!

Tatuś Emila musiał rzucić wszystko i pędzić do obory. Emil i mała Ida zostali przy maszcie. Ida zadarła głowę, przechyliła, ile się dało, do tyłu i wpatrywała się w pozłacaną kulę na szczycie masztu.



– Ale wysoko! – powiedziała. – Stamtąd widać na pewno wszystko aż do Mariannelund!

Emil zastanowił się. Tylko chwilkę.

– Możemy spróbować. Wciągnąć cię?

Mała Ida się ucieszyła. Och, jaki ten Emil dobry i jakie ma zawsze świetne pomysły!

– Tak – powiedziała. – Chcę zobaczyć Mariannelund.

– No to zaraz zobaczysz – odrzekł przyjaźnie Emil. Następnie o pasek Idy zaczepił haczyk, do którego przymocowywało się flagę i mocno chwycił linkę oburącz.

– Uwaga, jedziesz! – zawołał.

– Hihi! – zapiszczała Ida.

I mała Ida pojechała w górę. Wysoko, aż na sam szczyt masztu. Emil okręcił koniec liny na kołku, zupełnie tak samo, jak to robił tatuś, bo wcale nie chciał, żeby Ida spadła i potłukła się. Wisiała porządnie i solidnie aż miło.

– Widzisz Mariannelund? – krzyknął Emil, patrząc w górę.

– Nie! – zawołała Ida. – Tylko Lönnebergę.

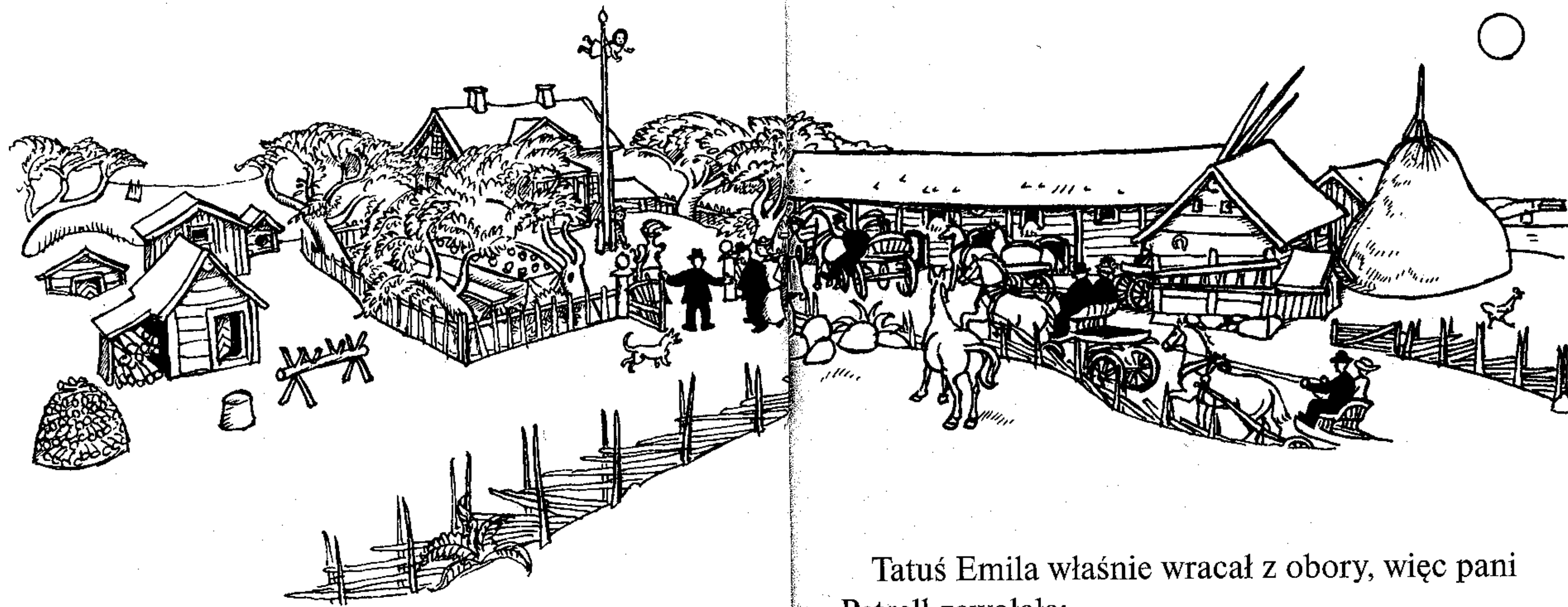
– E tam, Lönnebergę... To chcesz na dół?

– Nie, jeszcze nie! – odkrzyknęła Ida. – Na Lönnebergę też przyjemnie patrzeć... O, widać gości! Goście już jadą!

I rzeczywiście jechali. Podwórze zaczęło wypełniać się pojazdami i końmi, a wkrótce goście poczęli napływać przez furtkę i powoli kierować się ku domowi. Na samym przodzie kroczyła elegancka



pani Petrell. Przyjechała dorożką aż z Vimmerby, aby skosztować kiełbasy mamy Emila. Była to bardzo wytworna pani. Na głowie miała kapelusz



ozdobiony strusimi piórami, z rondem podniesionym i z przodu, i z tyłu.

Pani Petrell rozglądała się dookoła z zadowoleniem. O, jakże ładne było to Katthult całe zalane słońcem, całe wśród jabłoni i bzów, ach, jakże wszystko wyglądało uroczyście: i flaga wciągnięta na maszt, i... Tak, niewątpliwie była wciągnięta, to pani Petrell widziała, mimo że była nieco krótkowzroczna.

Flaga! Nagle pani Petrell stanęła jak wryta. Cóż to, u Boga Ojca, przyszło Svenssonom z Katthult do głowy?! O tak, nad tym warto by się zastanowić!

Tatuś Emila właśnie wracał z obory, więc pani Petrell zawołała:

– Mój drogi Antonie, cóż to znaczy? Dlaczego wciągnęliście na maszt Danneborgen?

Emil stał tuż koło pani Petrell. Zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Nie miał pojęcia, że Danneborgen to nazwa czerwono-białej flagi Danii, kraju, w którym mieszkają Duńczycy. Jedno było pewne dla Emila – że to czerwono-białe na szczycie masztu nie jest flagą Danii.

– Hihi! – roześmiał się głośno Emil. – To przecież tylko Ida!

A mała Ida, też się śmiejąc, zawołała z masztu:

– Hihi, to tylko ja! I widzę całą Lönnebergę!

Ale tatuś Emila wcale się nie śmiał. Szybko opuścił małą Idę, a ona, stanąwszy na ziemi, powiedziała zadowolona:

– Hihi, tak dobrze nie bawiłam się od czasu, kiedy Emil wrzucił mnie w powidła!

Miała na myśli tę już dość odległą historię, kiedy bawiła się z Emilem w Indian i Emil wpakował ją do wielkiej miednicy z borówkami, żeby się zrobiła cała czerwona jak Indianka.

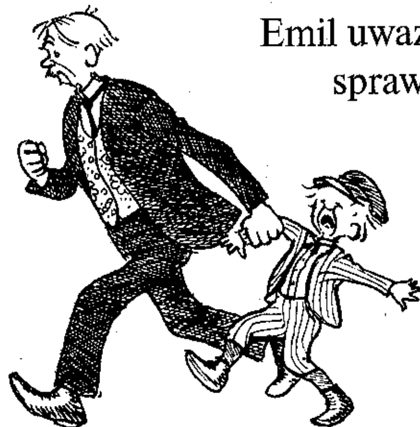
Tak, Emil bardzo dbał o to, żeby Idę zabawić. Ale nikt nigdy mu za to nie dziękował. Wręcz przeciwnie! Teraz na przykład tatuś chwycił go za ramię i mocno nim potrząsnął.

– A nie mówiłam! – powiedziała Lina, widząc, że tatuś prowadzi Emila do stolarni. Tam właśnie Emil odsiadywał zwykle swoje figle.

Emil krzyczał i płakał.

– Ona chciała przecież zobaczyć Ma... ri... anne... lu... und – szlochał.

Emil uważał, że tatuś jest bardzo niesprawiedliwy. Nikt nigdy nie mówił Emilowi, że nie wolno pokazywać Idzie Mariannelundu. Przecież to nie jego wina, że mogła zobaczyć tylko Lönnebergę!



Emil płakał, póki tatuś nie zamknął drzwi na klucz i nie odszedł. Wtedy przestał. Właściwie w stolarni było przyjemnie. Leżało tu tyle najróżniejszych odpadków drewna i desek, zawsze dało się coś z nich zmajstrować. Emil za każdym razem, gdy tu sam siedział, strugał sobie kozikiem



małego drewnianego ludzika. Miał już pięćdziesiąt cztery sztuki, a wyglądało na to, że zbiór się powiększy.

– W nosie mam ich głupie przyjęcie – mruknął. – Tatuś może sobie sam wciągać flagę, jeżeli chce. Wystrugam nowego ludzika i będę przez cały czas zły i nieznośny.

Emil wiedział, że wkrótce zostanie wypuszczony. Nigdy nie siedział zbyt długo w stolarni.

– Tylko tyle, żebyś porządnie przemyślał swój wybryk i żebyś go nie powtórzył – zwykł mawiać jego tatuś.

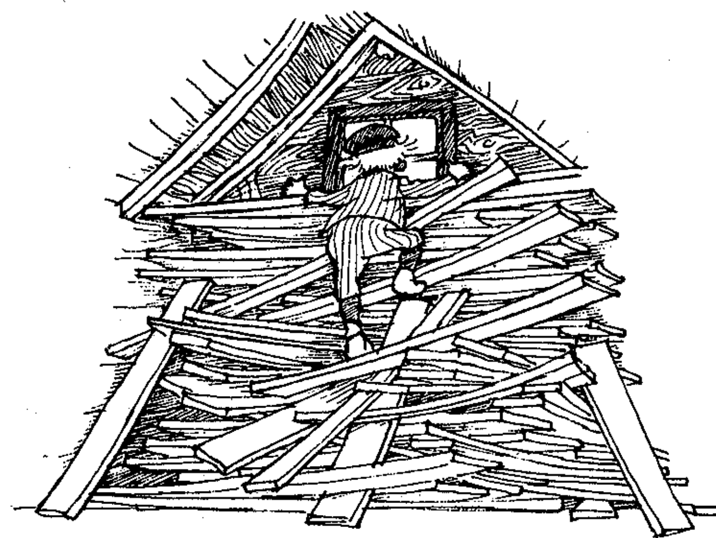
Pod tym względem Emil był wzorowy i nigdy nie powtarzał tego samego wybryku po raz drugi, stale wymyślał coś nowego.

Siedział więc teraz i, wycinając drewnianego ludzika, rozmyślał nad swoim wybrykiem z Idą. Wkrótce się z tym uporał, bo do myślenia dużo nie było, a i strugał bardzo prędko i zręcznie.

Potem Emil chciał wyjść. Musieli jednak o nim zapomnieć z powodu przyjęcia.

Czekał i czekał, ale nikt nie nadchodził. Wtedy zaczął się zastanawiać, jak by się samemu wydostać z szopy.

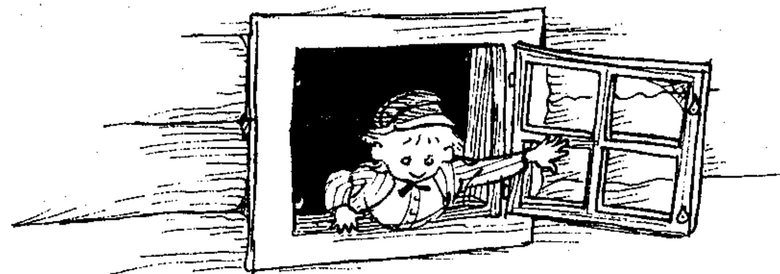
Może przez okno? To chyba nie będzie takie trudne – pomyślał.



Okno było umieszczone wysoko, to prawda, ale można było się do niego dostać po stosie desek leżących tuż pod ścianą...

Emil otworzył okno i już miał przez nie wyskoczyć, zobaczył jednak, ile na dole rośnie paskudnych pokrzyw.

Pokrzywy są okropne. Emil wskoczył w nie raz, żeby sprawdzić, jak to jest. Teraz już wiedział i nie miał zamiaru robić tego po raz drugi.



– Jeszcze nie zwariowałem – powiedział sobie. – Potrafię wymyślić jakiś lepszy sposób.

Jeżeli kiedykolwiek byłeś w zagrodzie takiej jak Katthult, to wiesz, jak ona wygląda – składa się ze skupiska małych zabudowań. Człowiek ma od razu ochotę bawić się w chowanego, kiedy tam wejdzie. W Katthult była nie tylko stajnia, obora, chlew, kurnik i owczarnia, lecz także moc innych zabudowań i składzików. Była tam także wędzarnia, w której mama wędziła swoją słynną kiełbasę, i pralnia, w której Lina prała wszystkie ich brudne ubrania oraz bieliznę, i były jeszcze dwa małe budyneczki stojące tuż obok siebie. W jednym mieściła się stolarnia i drewutnia, a w drugim magiel i spiżarnia.

Wieczorami Emil i mała Ida najczęściej bawili się w chowanego, przemykając między tymi wszystkimi zabudowaniami. Tam, gdzie nie rosły pokrzywy, ma się rozumieć.

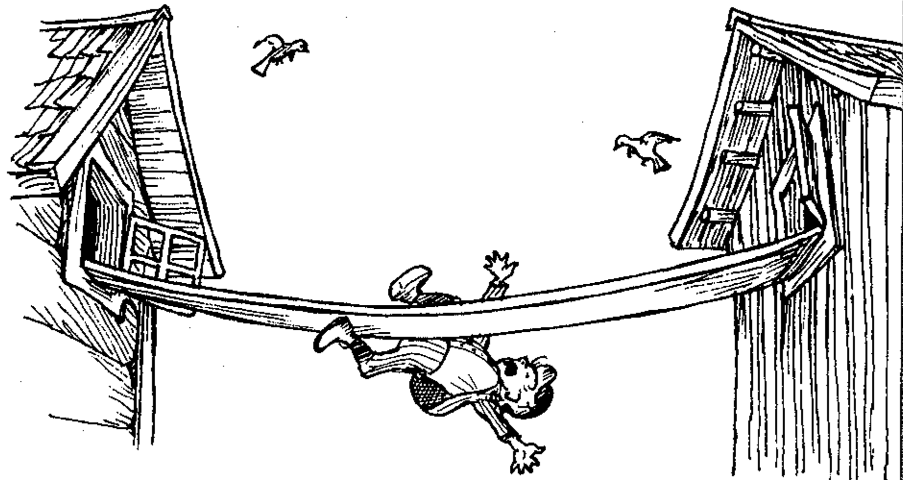
Teraz jednak Emil nie mógł się w nic bawić. Był naprawdę uwięziony, bo akurat w tym miejscu, na niewielkim płachetku ziemi między stolarnią i spiżarnią, musiało wyrosnąć aż tyle pokrzyw.

Emil zastanawiał się. Widział, że okno spiżarni jest otwarte, i wpadł na dobry pomysł. Powinna to być prosta sprawa – przerzucić deskę z okna stolarni do okna spiżarni i przejść po niej na czworakach. Stolarnia doprawdy już mu zbrzydła, a zresztą zaczynał być głodny. Emil nigdy się długo nie zastanawiał, kiedy przyszedł mu do głowy jakiś dobry pomysł. W mgnieniu oka przerzucił deskę między oknami i zaczął po niej pełznąć. Wyglądało to dość niebezpiecznie, ponieważ deska była cienka, a Emil ciężki.



– Jak mi się uda, dam Idzie mego pajacyka, przyrzekam – powiedział, pełznąc.

Deska trzasnęła podejrzanie. Emil zobaczył pod sobą pokrzywy, przestraszył się i zachwiał.



– Ratunku! – zawołał i zaczął się zsuwać na dół. Mało brakowało, a spadłby w pokrzywy, ale w ostatnim momencie udało mu się chwycić deskę nogami i znów na nią wdrapać. Potem szło mu już lepiej i dopełzł do spiżarni.

– Właściwie to żadna sztuka – powiedział, stojąc już na pewnym gruncie. – Ale Ida dostanie mojego pajacyka i tak... myślę... któregoś dnia... Może jak już będzie zepsuty... Zresztą jeszcze zobaczymy!

Wymierzył desce porządnego kuksańca, żeby wjechała z powrotem do stolarni, bo lubił porządek we wszystkim. Potem podbiegł do drzwi i szarpnął za klamkę. Ale drzwi były zamknięte na klucz.

– Tak właśnie przypuszczałem – powiedział. – No, ale przyjdą tu po kiełbasę, a wtedy ktoś sobie stąd ucieknie...



Wciągnął nosem powietrze. W spiżarni pachniało pięknie. Bo też było tam mnóstwo smacznych rzeczy. Emil uważnie się rozejrzał. No, naprawdę było tu mnóstwo jedzenia! W górze pod powałą wisiały ogromne wędzone szynki i długie rzędy okrągłych, nawleczonych na żerdź, chrupkich chlebów. Było ich tyle, ponieważ tatuś Emila lubił jeść je ze słoniną i zawiesistym sosem. W rogu pod ścianą stała skrzynia na chleb, pełna bochenków pysznego chleba, a obok był stół z serami i gliniane garnki ze świeżym masłem. Za stołem sterczała faska z solonym boczkiem, a tuż obok stała wielka szafa, w której mama Emila przechowywała pyszny sok malinowy, konfitury z truskawek, ogórki w occie i marynowane gruszki. A na środkowej półce tej szafy trzymała swoją słynną kiełbasę.

Emil lubił kiełbasę, nawet bardzo...

Przyjęcie w Katthult trwało w najlepsze. Gościom podano kawę i wiele rodzajów ciast i ciasteczek. Siedzieli i czekali, aż znowu zgłodnieją, aby móc zacząć jeść żeberka i sałatkę śledziową, no i kiełbasę, i wszystko inne.

W pewnej chwili mama Emila zawołała:

– Oj, zupełnie zapomnieliśmy o Emilu! Już za długo tam siedzi, biedaczek!

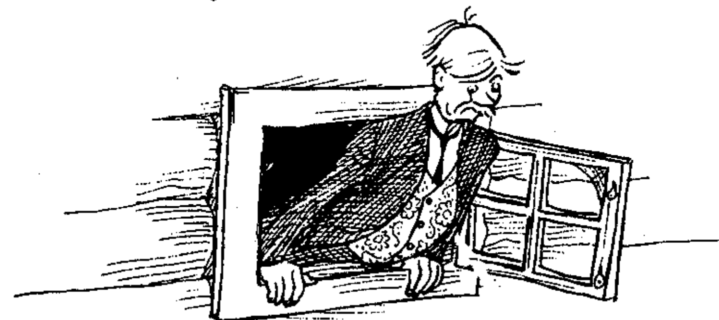


Tatuś Emila pędem pobiegł do stolarni, a mała Ida za nim.

– Już możesz wyjść, Emilku! – zawołał tatuś Emila, otwierając drzwi. I zgadnijcie, czy się zdziwił? Emila tam nie było!

– Uciekł, smarkacz, oknem – stwierdził tatuś.

Ale kiedy wyjrzał przez okno i zobaczył pokrzywy prosto i pięknie sterczące, zupełnie niezdeptane, zaniepokoił się.



– Coś tu się nie zgadza – powiedział. – Nikt tędy nie przechodził, a w każdym razie żadna ludzka stopa.

Wtedy mała Ida zaczęła płakać. Co się stało z Emilem? Lina miała zwyczaj nucić bardzo smutną piosenkę o dziewczynce, którą uwięziono w ohydnej beczce po kapuście, więc dziewczynka zamieniła się w gołębia i pofrunęła prosto do nieba. Emila przecież też zamknięto, kto wie, może i on został w coś przemieniony i wyfrunął!

Mała Ida rozejrzała się, aby zobaczyć, czy gdzieś w pobliżu nie ma gołębia. Ale jedynym stworzeniem, jakie zobaczyła, była biała, tłusta kura, która spacerowała przed stolarnią, wydziobując robaki. Mała Ida, płacząc, wskazała na kurę.

– Może to Emil – wyjąkała.



Tatuś Emila tak nie sądził. Jednak, na wszelki wypadek, pobiegł do mamy Emila i spytał, czy nie zauważyła kiedyś przypadkiem, że Emil umie latać.

Nie, nie zauważyła. I od razu w Katthult zaczął się ruch. Przyjęcie zostało przerwane. Wszyscy mieli szukać Emila.

– Rozumiesz chyba, że musi być w stolarni – powiedziała mama Emila i wszyscy rzucili się do stolarni, żeby dokładniej sprawdzić, czy na pewno go tam nie ma.

Jednak Emila tam z pewnością nie było. Było natomiast pięćdziesiąt pięć drewnianych ludzików, ustawionych rzędem na półce. Pani Petrell nigdy jeszcze nie widziała tylu drewnianych ludzików naraz, więc spytała, kto je zrobił.

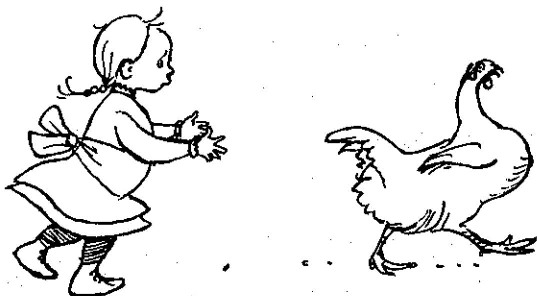


– A któż by, jak nie nasz mały Emilek – odpowiedziała mama Emila i rozpłakała się. – Był takim kochanym chłopcem...

– O, pewnie! – Lina pokręciła głową. I po chwili dodała: – Więc najlepiej będzie zerknąć do spiżarni – dodała.

Nie był to głupi pomysł. Wszyscy rzucili się ku spiżarni. Ale Emila też tam nie było!

Mała Ida płakała cicho i żałośnie, a kiedy nikt na nią nie patrzył, podeszła powoli do białej kury i szepnęła:



– Nie odlatuj do nieba, kochany Emilku! Całymi wiadrami będę ci nosić poślad i wytłoczyny z jagód, tylko zostań z nami w Katthult!

Lecz kura nie chciała nic obiecywać. Pogdakała sobie i poszła.

Och, wszyscy ci nieszczęśnicy w Katthult, jak oni szukali! I w drewutni, i w maglu, ale Emila tam nie było! I w stajni, i w oborze, i w chlewie... Emila nie było! I w owczarni, i w kurniku, i w wędzarni, i w pralni... nie było Emila. Wtedy zajrzeli

do studni. Lecz tam także, na szczęście, nie było Emila. Mimo to wszyscy już płakali.

Mieszkańcy Lönnebergi, którzy brali udział w przyjęciu, szeptali do siebie:

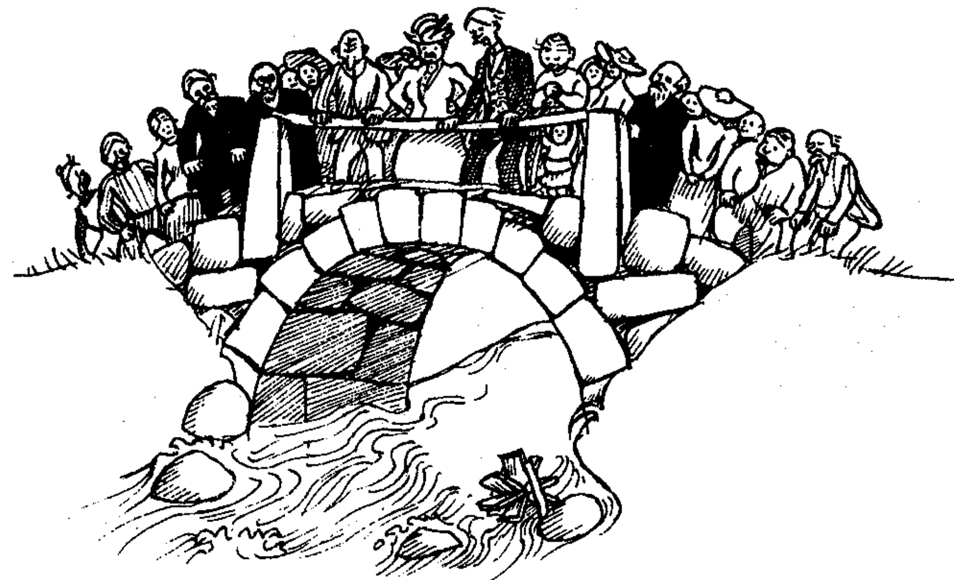
– Właściwie to z tego Emila był miły chłopczyk. Wcale nie taki straszny łobuz... Ja w każdym razie tak nigdy nie twierdziłem!

– Na pewno wpadł do potoku – powiedziała Lina. Potok w Katthult był wartki i niebezpieczny, a małe dzieci mogły w nim łatwo utonąć.

– Wiesz, że tam nie wolno mu było chodzić – odrzekła mama Emila surowo.

Lina pokiwała głową.

– No, właśnie dlatego – powiedziała.



Wtedy wszyscy pobiegli nad potok. Na szczęście i tam Emila nie znaleziono, lecz płacz był coraz większy. A mama Emila, biedna, sądziła, że to będzie wesołe i udane przyjęcie!

Więcej miejsc, gdzie by można szukać chłopca, już nie było.

– Co mam robić, na miłość boską? – biadała mama Emila.

– W każdym razie trzeba coś zjeść – powiedział tatuś Emila i miał zresztą zupełną rację. Wszyscy bowiem porządnie zgłodnieli przez te zmartwienia i poszukiwania.

Mama Emila zaczęła nakrywać do stołu. Wnosząc sałatkę śledziową, uroniła do niej parę łez, ale sałatka znalazła się jednak na stole obok rolady, żeberek, sernika i innych różności. Pani Petrell oblizała się: stół wyglądał obiecująco. Chociaż zaniepokoiło ją, że nie ma na nim jeszcze kiełbasy.



Właśnie wtedy, nagle, mama Emila zawołała:

– Lino, zapomniałyśmy przecież o kiełbasie! Biegnij zaraz i przynieś!

Lina pobiegła. Wszyscy czekali w napięciu, a pani Petrell, skinąwszy głową, rzekła:

– Kiełbasa! Tak! Swoim smakiem będzie nam umilać te smutne chwile.



Tymczasem wróciła Lina. Ale bez kiełbasy.

– Chodźcie ze mną wszyscy! – krzyknęła. – Pokażę wam coś.

Wyglądała trochę dziwnie, ale to się zdarzało często, więc nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Coś ty znowu za głupstwo wymyśliła? – spytała ostro mama Emila.

Lina wyglądała teraz jeszcze dziwniej, zaśmiała się cicho i tajemniczo.

– Chodźcie ze mną! – powtórzyła jeszcze raz, co też wszyscy, którzy brali udział w przyjęciu w Katthult, uczynili.

Lina szła przodem, pozostali, bardzo zaciekawieni, podążali za nią do spiżarni. Przez cały czas



słyszeli, że śmieje się sama do siebie. Lina otworzyła ciężkie drzwi i przestąpiła próg, a oni cały czas szli za nią. Podprowadziła ich do wielkiej szafy, otworzyła ją z trzaskiem i wskazała środkową półkę, na której mama Emila miała zwyczaj przechowywać swoją wyśmienitą kiełbasę.

Teraz kiełbasy tam nie było. Był natomiast Emil. Spał. Leżał sobie wśród skórek od kiełbasy, ten kochany chłopaczek, a jego mama tak się ucieszyła, jakby znalazła w szafie dużą bryłkę czystego złota.



Jakie to miało znaczenie, że Emil wrąbał całą kiełbasę! Z całą pewnością lepiej było znaleźć na półce Emila niż te parę kilo kiełbasy. Tatuś Emila też tak uważał.

– Hihi, tam leży Emil! – ucieszyła się mała Ida. – Nie jest przemieniony, w każdym razie chyba niewiele.

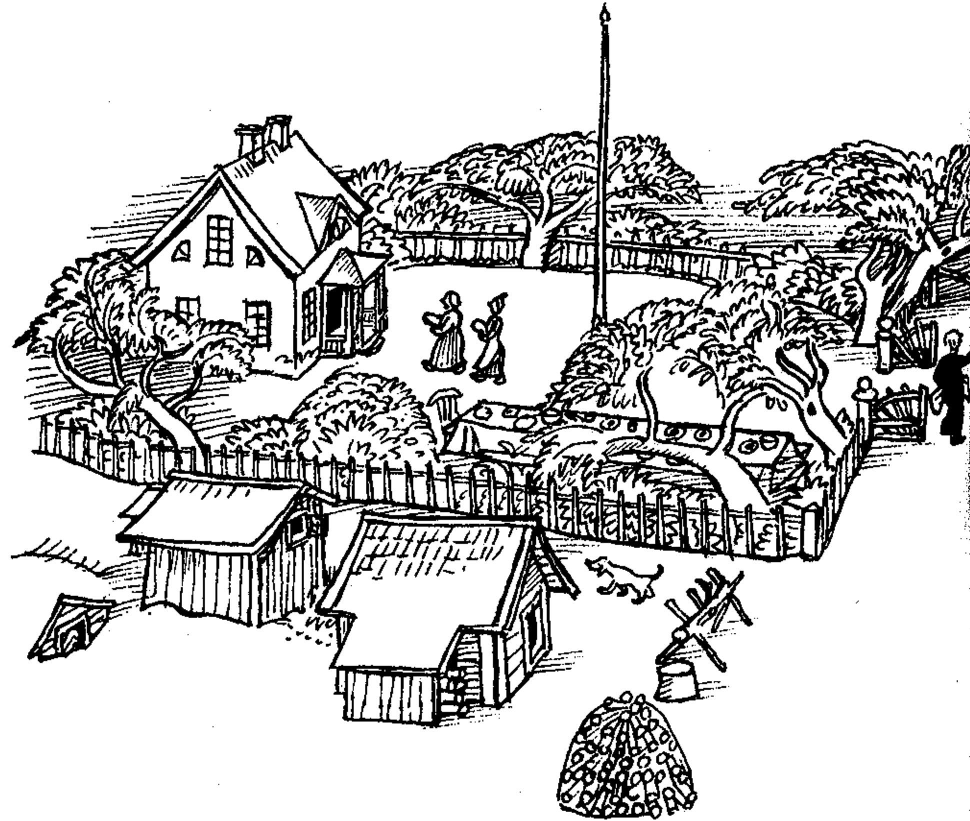
I pomyśleć tylko, że jeden jedyny odnaleziony mały chłopiec, nadziany kiełbasą, może uradować tyle osób! I tak w końcu przyjęcie w Katthult udało się i było bardzo wesołe. Mama Emila znalazła nawet kawałeczek kiełbasy, którego Emil nie dał rady zjeść. Dostała go, ku swojej wielkiej radości, pani Petrell. Lecz i pozostali, dla których zabrakło kiełbasy, nie opuścili przyjęcia głodni. Były jeszcze przecież żeberka i rolada cielęca, i klopsiki, i marynowane śledzie, i sałatka śledziowa, i duszone mięso, i suflety, i węgorz, i w ogóle tyle wszystkiego, że najedli się po uszy. A na deser dostali przepyszny sernik z konfiturami truskawkowymi i bitą śmietanką.

– To jest najlepsze – stwierdził Emil.

A jeśli kiedykolwiek jadłeś taki sernik jak ten w Katthult, to wiesz, że powiedział prawdę.

Potem nadszedł wieczór i Katthult, i Lönnebergę, i całą Smalandię spowił łagodny zmierzch. Tata Emila opuścił i zdjął flagę. Emil i Ida stali obok siebie, patrząc, jak gaśnie dzień.

Przyjęcie już się skończyło. Goście rozjeżdżali się do domów, każdy do swojego. Pojazd za pojazdem wytaczały się na drogę. Ostatnia odjechała w dorożce pani Petrell. Emil i Ida słyszeli jeszcze stukot końskich kopyt, milknący w dole wśród pagórków.



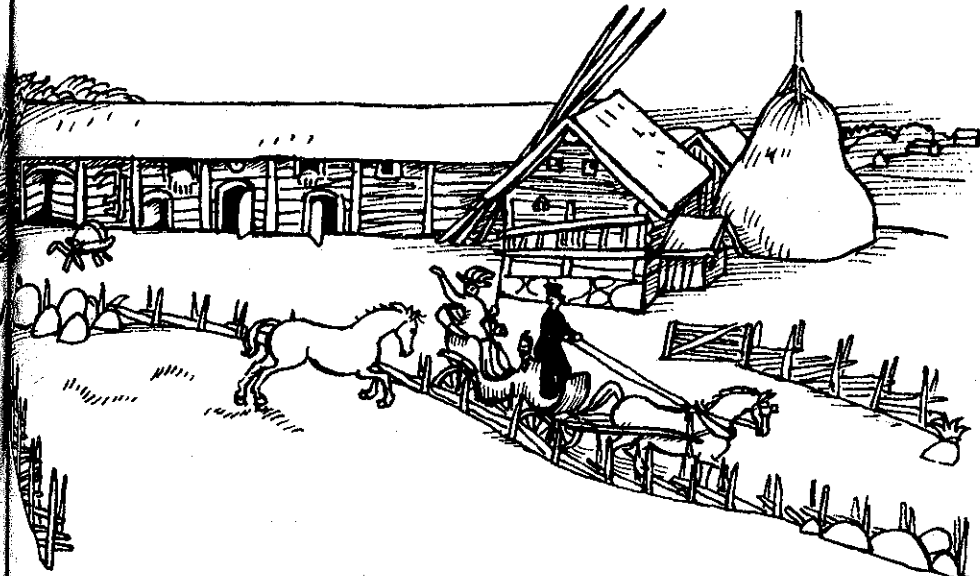
– Mam nadzieję, że ona będzie dobra dla mojej myszki – powiedział Emil do siostrzyczki.

– Jakiej myszki? – zdziwiła się Ida.

– No, tej, którą wrzuciłem do jej torebki – odpowiedział Emil.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Ida.

– Bo mi było żal tej myszki – wyjaśnił Emil. – Przez całe swoje życie nie widziała nic prócz



wielkiej szafy z kiełbasami. No więc pomyślałem, niech przynajmniej zobaczy sobie Vimmerby.

– Żeby tylko Petrelka była dla niej dobra – westchnęła Ida.

– Na pewno będzie – odrzekł Emil.

Wydarzenia te miały miejsce 10 czerwca, w dniu, kiedy Emil wciągnął małą Idę na maszt i kiedy zjadł całą kiełbasę. A może jeszcze chciałbyś usłyszeć, jaka była...

Niedziela 8 lipca,

kiedy to Emil hulał na równinie Hultsfred

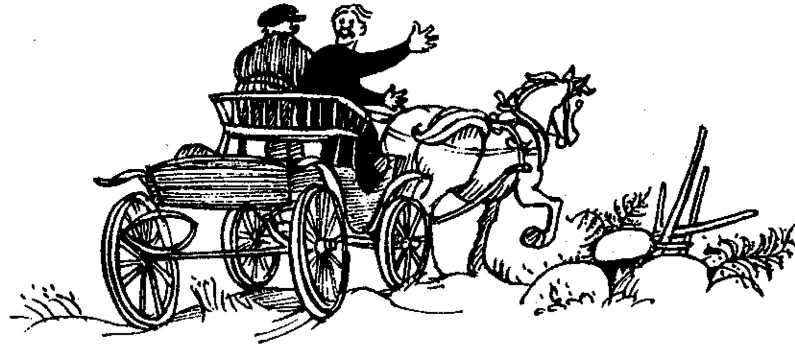
Alfred, parobek z Katthult, lubił dzieci. Szczególnie Emila. Emil psocił i był nicponiem, lecz Alfredowi to wcale nie przeszkadzało. Lubił Emila i pewnego dnia zrobił mu piękną drewnianą dubeltówkę. Wyglądała zupełnie jak prawdziwa, chociaż, ma się rozumieć, nie można było z niej strzelać. Emil strzelał jednak, krzycząc: „Bach! Baba-baba-bach!", i to tak głośno, że przez kilka dni Katthult omijały wróble. Emil kochał swoją dubeltówkę i chciał ją mieć przy sobie także w nocy w łóżku.

– Chcę moją dubeltówkę! – wołał i był bardzo niezadowolony, kiedy mama, nie dosłyszawszy, przynosiła mu cyklistówkę.



– Nie chcę przecież czapki! – krzyczał wówczas. – Chcę strzelbę!

I dostawał, co chciał!



Tak, Emil kochał swoją dubeltówkę, a jeszcze bardziej kochał Alfreda, który mu ją zrobił. Nic więc dziwnego, że Emil płakał, kiedy nagle pewnego dnia Alfred wyjechał do Hultsfred na ćwiczenia wojskowe. Pewnie nie wiesz, co to ćwiczenia wojskowe, ale widzisz – tak to się niegdyś nazywało, kiedy człowiek szkolił się na żołnierza. Wszyscy parobcy z Lönnebergi i z całej okolicy musieli odbywać ćwiczenia wojskowe i szkolić się na żołnierzy.

– Pomyśleć tylko, że to musiało wypaść akurat teraz, kiedy mamy zwozić siano! – ubolewał tatuś Emila.

Nie chciał, by Alfred wyjeżdżał w sianokosy, a więc w czasie najpilniejszych robót w Katthult. Ale to nie tatuś, lecz król i jego generałowie decydowali o tym, kiedy parobcy z Lönnebergi mają jechać na nizinę Hultsfred i uczyć się na żołnierzy. Zresztą Alfred miał wrócić do domu, gdy się już wszystkiego wyuczy, co nie potrwa długo. Więc właściwie Emil nie miał powodu, by tak bardzo płakać, ale płakał, i Lina też płakała. Bo nie tylko Emil kochał Alfreda...

Alfred nie płakał. Mówił, że w Hultsfred można sobie pohulać i nieźle się zabawić. A kiedy bryczka ruszyła w drogę i wszyscy stali zasmuceni i machali mu na pożegnanie, Alfred się roześmiał i zaśpiewał dla nich, żeby nie mieli takich ponurych min:

W mieście Eksjö na nizinie Ränne
odchodzi tam polka, że hej!
Podobnie też na Hultsfred równinie
każda dziewczyna tańczy, jak umie.
Halli-dajen halli-dalli-da,
Halli-dajen halli-dalli-da...

Potem nie słyszeli już Alfreda, gdyż Lina rozbeczała się w głos, a bryczka z Alfredem zniknęła za zakrętem.

Mama Emila starała się pocieszyć Linę.

– Nie martw się, Lina – powiedziała. – Uspokój się i wytrzymaj do 8 lipca, kiedy to na równinie Hultsfred odbędzie się wielki festyn i pojedziemy odwiedzić Alfreda.

– Ja też chcę pojechać do Hultsfred pohulać i odwiedzić Alfreda – wtrącił Emil.

– I ja! – krzyknęła mała Ida.

Ale mama Emila potrząsnęła głową.

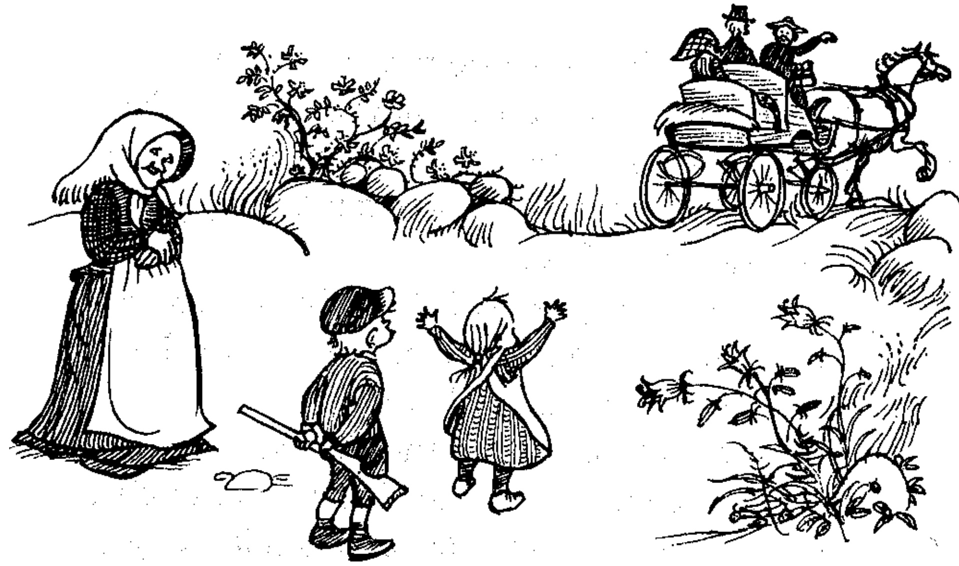
– Nie ma nic zabawnego dla małych dzieci na takich festynach – stwierdziła. – Gubią się tylko w tłoku.

– Uważam, że to bardzo zabawne zgubić się w tłoku – powiedział Emil, ale to nie pomogło.

Rankiem 8 lipca mama Emila, tatuś Emila i Lina pojechali na festyn do Hultsfred, zostawiając Emila i małą Idę w domu pod opieką Mai-Borówki. Maja-Borówka była staruszką i od czasu do czasu przychodziła do Katthult, aby pomóc w tym lub owym.

Mała Ida była grzecznym dzieckiem. Usiadła zaraz Mai-Borówce na kolanach i zmusiła ją do opowiedzenia sobie kilku najstraszniejszych historii o duchach. I to Idzie wystarczyło; była zadowolona.





Inaczej jednak sprawa przedstawiała się z Emilem. Chodził po podwórzu, wałęsał się przed stajnią z dubeltówką w ręku i aż kipiał ze złości.

– Na to po prostu się nie zgadzam! – mruczał. – Muszę jechać do Hultsfred! Chcę tam pohulać jak wszyscy inni, to postanowione. Rozumiesz, Gwiazdko?

Z tymi słowami zwrócił się do starej klaczy, która pasła się na łące za stajnią. Mieli także w Katthult drugiego konia, młodego, który nazywał się Markus. Teraz jednak Markus był w drodze do Hultsfred, wioząc tatusia i mamę Emila oraz Linę.

Właśnie, niektórzy to mogli sobie jeździć i bawić się wesoło!

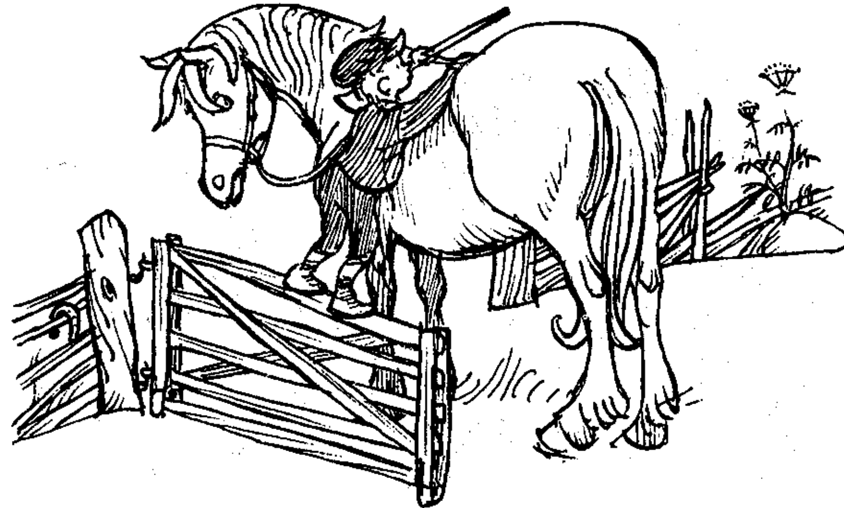
– Ale ja znam takich dwoje, co pogalopują za nimi, aż wiatr będzie im w uszach gwizdał – powiedział Emil. – Tych dwoje to ty i ja, Gwiazdko!

I tak się stało, jak postanowił. Emil wyprowadził klacz z pastwiska.

– Nie ma się czego bać – przemawiał łagodnie do Gwiazdki. – Alfred ucieszy się, kiedy przyjadę, a ty znajdziesz sobie jakąś starą, miłą klacz i postoicie sobie razem i porżycie, gdybyś nie miała sił na hulankę.

Podprowadził Gwiazdkę do furtki, aby po niej wdrapać się na grzbiet klaczy. Sprytny był chłopak z tego Emila!

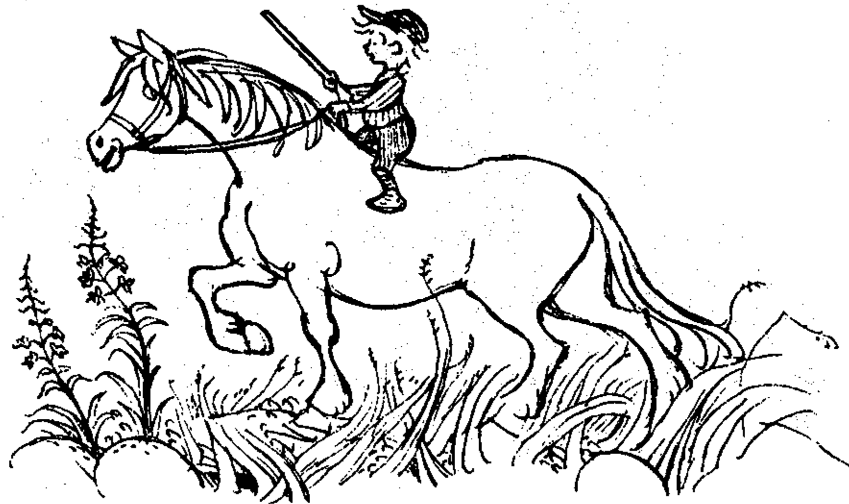
– No, jazda! – zawołał. – Halli-dajen ha-lli-dalli-da! A Mai-Borówce powiemy do widzenia, gdy wrócimy do domu!



Gwiazdka ruszyła truchtem przez pagórki, niosąc na grzbiecie Emila, siedzącego bardzo prosto, bardzo dumnie, Emila ze strzelbą w dłoni. Tak, ze strzelbą, bo trzeba ją mieć, jak się jedzie do Hultsfred! Jeśli bowiem Alfred miał zostać żołnierzem, to i Emil również miał taki zamiar. Alfred miał karabin, Emil dubeltówkę. To prawie jedno i to samo; obydwaj byli żołnierzami i tak powinno być, tego chciał Emil.

Gwiazdka miała już swoje lata. Szła stępa i aby zupełnie nie straciła fantazji, Emil śpiewał jej piosenkę własnego pomysłu:

Moja kobyłka to dobry koń,
choć lezie jak ta krowa,
kiedy wezmę cugle w dłoń.



Ale mnie i moją strzelbę jakoś dowiezie,
choć tak lezie,
jak ta krowa, a nie koń!

I choć Gwiazdka posuwała się stępa albo truchtem, albo wlokła się noga za nogą, w końcu dojechali czy też raczej doczłapali do Hultsfred oboje – ona i Emil.

– Hej, hej! – krzyknął Emil. – Teraz będziemy sobie hulać!

Ale zaraz umilkł i wytrzeszczył oczy. Wiedział, co prawda, że na świecie jest dużo ludzi, nigdy jednak nie przypuszczał, że tyle ich mogło się zebrać na równinie Hultsfred. Nigdy nie widział takiej masy ludzi; tysiące ich stały kołem na wielkiej równinie, a w środku tego koła żołnierze ćwiczyli musztrę:

– Na ramię broń, na prawo patrz, na lewo patrz! – i takie różne rzeczy, które wykonują żołnierze.

Jakiś mały, gruby i rozzłoszczony człowieczek na koniu jeździł tam i z powrotem, krzycząc do żołnierzy, co mają robić, oni zaś posłusznie i bez słowa wykonywali jego polecenia. Emilowi wydało się to dziwne.

– Czy to nie Alfred kieruje tym wszystkim? – spytał kilku wiejskich chłopaczków stojących



w pobliżu. Ale oni patrzyli tylko na żołnierzy i nie odpowiedzieli.

Emil także uważał, że przyjemnie jest popatrzeć na żołnierzy, kiedy ćwiczą, zarzucając na ramię broń, ale nie w nieskończoność. Przede wszystkim chciał odnaleźć Alfreda, po to ostatecznie tu przyjechał. Lecz wszyscy żołnierze nosili niebieskie mundury i wyglądali tak samo. Odnaleźć Alfreda w tej masie nie było rzeczą najłatwiejszą.

– Nic się nie martw, poczekaj, niech mnie tylko Alfred zobaczy – szepnął Emil do Gwiazdki.





– Wtedy zaraz przybiegnie, wiwatując, a ten zły grubas będzie sobie mógł sam wywijać karabinem, ile zechce.

I żeby Alfred mógł go dojrzeć, wjechał na koniu przed szeregi żołnierzy i krzyknął, jak mógł najgłośniej:

– Alfred, gdzie jesteś?! Wyjdź, to sobie pohulamy! Nie widzisz, że to ja?

Jasne, że Alfred go widział. Zresztą trudno go było nie zobaczyć. To mógł być tylko Emil – w cyklistówce, z dubeltówką i na swojej starej szkapie. Lecz Alfred stał przecież w równym szeregu żołnierzy i nie mógł z niego wystąpić. Oczywiście, przez tego małego, grubego, złego człowieczka, który krzyczał i hałasował, dyrygując wszystkim bez przerwy.

I ów mały, zły i gruby człowieczek podjechał do Emila i spytał zupełnie grzecznie:



– Co się stało, chłopaczku? Zgubiłeś się? Gdzie są twoi rodzice?

Czegoś tak głupiego Emil nigdy jeszcze w życiu nie słyszał.

– Nie zgubiłem się – odpowiedział. – Przecież tu jestem. A jeśli ktoś się zgubił, to właśnie mama i tatuś.

Co do tego Emil miał zupełną rację. Małe dzieci mogły się zgubić na równinie Hultsfred, jak mówiła jego mama. A teraz ona sama stała w najgorszym ścisku, wśród kłębiących się ludzi razem z tatusiem Emila i Liną, i czuli się zupełnie zagubieni wszyscy troje, gdyż żadne nie mogło się ruszyć z tego miejsca.

Chociaż widzieli Emila. A jakże! Widzieli go, gdy podjeżdżał przed szeregi żołnierzy w swojej czapce, ze swoją strzelbą i na swojej starej szkapie. A tatuś powiedział:

– Oj, chyba będzie nowy drewniany ludzik.

– To prawda! – odparła mama. – Ale jak my się dostaniemy do Emila?

O to właśnie chodziło! Jeśli byłeś kiedykolwiek na takiej uroczystości jak ta na równinie Hultsfred, to wiesz z pewnością, jaki tam panował zamęt. Skoro tylko żołnierze skończyli ćwiczenia i odmaszerowali, cała wielka równina zaroiła się od ludzi. Rozgardiasz powstał tak wielki, że ledwo można było samemu się w tym odnaleźć, a cóż dopiero Emila! Teraz zresztą nie tylko mama i tatuś poczęli go szukać, Alfred także. Ćwiczenia się



skończyły, miał wolny czas. Chciał być razem z Emilem i zabawić się wesoło. Ale na równinie Hultsfred po prostu nie można było nikogo znaleźć. Prawie wszyscy, którzy tam przybyli, kogoś szukali. Alfred szukał Emila, Emil Alfreda, mama Emila szukała Emila, Lina Alfreda, tatuś Emila mamusi Emila, tak, bo zgubiła się na dobre, i tatuś Emila musiał szukać przez całe dwie godziny, nim wreszcie ją znalazł, całkiem zrozpaczoną i przyduszoną, wciśniętą między dwóch barczystych chłopów z Vimmerby.

Ale nikt nie znalazł Emila i Emil nikogo nie znalazł. Wtedy zrozumiał, że sam musi zacząć hulać, zupełnie sam, jeśli w ogóle ma z tego coś mieć.

Lecz przed rozpoczęciem zabawy musiał jeszcze postarać się o towarzystwo dla Gwiazdki, o jakąś starą i poczciwą klacz, z którą Gwiazdka mogłaby postać sobie i porżeć przez ten czas – obiecał jej to przecież.

Emil nie znalazł jednak starej klaczy dla Gwiazdki. Znalazł natomiast Markusa, co było o wiele lepsze. Markus skubał siano, uwiązany do drzewa na skraju lasu. A tuż obok stała ich własna, rozklekotana bryczka z Katthult, tak dobrze znana Emilowi. Gwiazdka ucieszyła się ze spotkania z Markusem, to było widać. Emil uwiązał ją do tego samego drzewa i przyniósł z bryczki naręcze siana. W owych czasach zawsze wożono ze sobą siano dla koni. Gwiazdka zaraz zaczęła jeść, a wtedy Emil także poczuł, że jest głodny.

– Chociaż nie zamierzam zaczynać od siana – zadecydował.

Zresztą nie było to potrzebne. Na równinie ustawiono mnóstwo małych stoisk, gdzie można było kupić kanapki, kiełbasę, bułki i ciastka, wszystko w dowolnej ilości. Jeśli się miało pieniądze.

Było tam też wiele interesujących rzeczy dla tych, którzy chcieli się zabawić. Cyrk, estrada do

tańca, wesołe miasteczko i karuzela, i... wyobraźcie sobie, był tam również połykacz noży, który potrafił połykać miecze, i połykacz ognia, który potrafił połykać ogień, i pewna dama z długą bro-



dą, która nie potrafiła połykać co godzina nic poza kawą z bułeczkami. Na tym, ma się rozumieć, nie mogła się wzbogacić, ale na szczęście miała brodę. Pokazywała ją za pieniądze i zarabiała na tym zupełnie nieźle.



Za to wszystko trzeba było płacić. A Emil nie miał pieniędzy. Ale, jak już powiedziałam, był to chłopiec sprytny. Zobaczyć chciał jak najwięcej, zaczął więc od cyrku, to było najłatwiejsze.



Wystarczyło tylko wejść na skrzynię i zaglądać przez szparę w płachcie namiotu. Lecz Emil zaczął się tak okropnie śmiać z klauna, który biegał po arenie wewnątrz namiotu i wyprawiał śmieszne rzeczy, że z hukiem spadł ze skrzyni i uderzył głową o kamień. Wtedy zrezygnował z cyrku. Zresztą był coraz bardziej głodny.



– Nie ma hulanki bez jedzenia – powiedział sobie. – A bez pieniędzy nie ma jedzenia. Muszę się zastanowić...

Zauważył już, że tu, na festynie, można zarabiać w najrozmaitszy sposób, wobec czego musiał istnieć jakiś sposób także i dla niego... Nie mógł połykać ognia ani noży, nie miał też czarnej brody, więc cóż...

Stał i rozmyślał. Wtedy zobaczył biednego, niewidomego dziadka, który siedział na drewnianej skrzynce w samym środku ciżby ludzkiej. Dziadek śpiewał okropnie smutne piosenki, brzmiało to żałośnie, ale dostawał pieniądze. Do kapelusza leżącego tuż przed nim ciągle sypały się drobne monety.

To i ja potrafię – pomyślał Emil. – Dobrze, że zabrałem czapkę.

Położył czapkę na ziemi, stanął obok i tym, którzy chcieli słuchać, zaśpiewał: „Moja szkapa cwałuje przez błonia”...

Niebawem otoczyli go ludzie.

– O, jaki milutki chłopczyna – mówili. – Musi być biedny, skoro śpiewa dla pieniędzy...

W owych czasach było jeszcze wiele ubogich dzieci, które nie miały co jeść. Jakaś uprzejma ciocia podeszła do Emila i spytała:



– Mój malutki, dostałeś dziś coś do jedzenia?

– Tak, ale tylko siano – odpowiedział Emil.

Wtedy wszystkim zebranym zrobiło się ogromnie żal Emila. Jakiemuś poczciwemu chłopkowi ze wsi Vena napłynęły łzy do oczu i zapłakał nad biednym dzieckiem, które stało takie samotne i miało takie ładne, kręcone włoski.

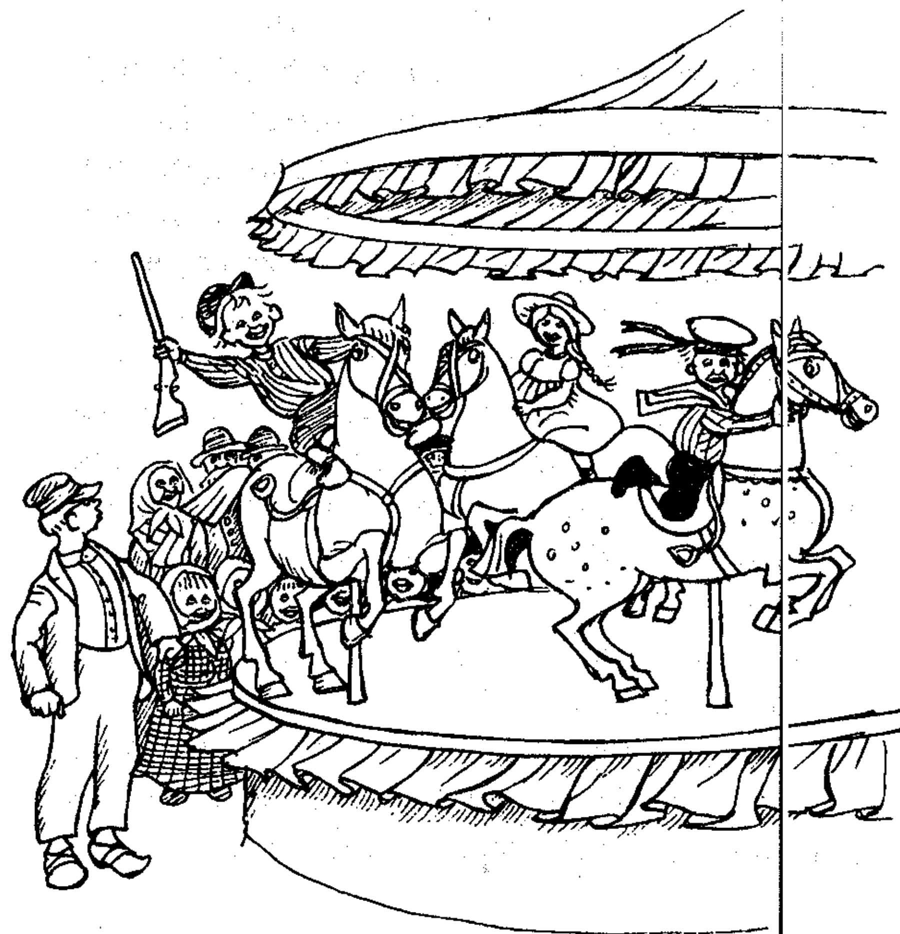
Wszyscy zaczęli wrzucać dwu-, pięcio- i dziesięcioörówki do czapki Emila. Poczciwy chłopek także wyjął dwuörówkę, lecz w ostatniej chwili pożałował, schował ją znowu do kieszeni, a do Emila szepnął:

– Jeżeli tylko pójdziesz ze mną do mojego wozu, dostaniesz więcej siana.

Ale Emil był przecież teraz bogaty, miał pełną czapkę pieniędzy. Poszedł więc i kupił sobie całą furę kanapek i bułeczek, i ciastek, i soku.

Kiedy wpakował w siebie już to wszystko, przejechał się karuzelą czterdzieści dwa razy, za całe cztery korony i dwadzieścia öre. Nigdy przedtem nie jeździł karuzelą i wcale nie wiedział, że istnieje na świecie coś tak przyjemnego.

W każdym razie hulam sobie na całego – myślał, śmigając na karuzeli, że aż rozwiewała się



w pędzie jego czupryna. – Nieraz już w życiu bawiłem się wesoło, ale nigdy aż tak.

Potem poszedł popatrzeć na połykacza noży i połykacza ognia oraz na brodatą damę. I po tej wyprawie zostało mu tylko dwa öre.

Mógłbym jeszcze coś zaśpiewać, a czapkę miałbym znów pełną – pomyślał. – Tu wszyscy ludzie są tacy dobrzy.

Ale poczuł, że jest zmęczony. Nie chciał więcej śpiewać i nie chciał już pieniędzy. Dał pieniążek niewidomemu dziadkowi i zajął się szukaniem Alfreda.

Emil mylił się jednak, sądząc, że wszyscy ludzie są dobrzy. Można było znaleźć paru złych wśród tych, którzy tego dnia przybyli do Hultsfred. W owych czasach grasował w tej okolicy okropny złodziej. Nazywał się Wróbel, a bali się go wszyscy w całej Smalandii. Wiele pisano o jego wyczynach zarówno w „Dzienniku Smalandzkim", jak i w „Kurierze Hultsfredzkim". Można było mieć pewność, że wszędzie tam, gdzie jest dużo ludzi i pieniędzy, na jarmarkach i festynach, zjawi się Wróbel i będzie kraść, ile wlezie. Żeby zaś nikt nie mógł go poznać, za każdym razem nosił inną brodę i wąsy. Tego dnia przybył do Hultsfred w czarnym kapeluszu z opuszczonym rondem



i z czarnymi wąsami. Kręcił się i wszędzie wciskał, żeby zobaczyć, co można by ukraść. Nikt nie wiedział, że Wróbel tam myszkuje, bo jakby było wiadomo, to dopiero by się wszyscy bali.

Gdyby jednak Wróbel był mądry, nie pojawiłby się na równinie Hultsfred tego samego dnia, w którym był tam Emil ze Smalandii ze swoją dubeltówką. Bo zgadnijcie, co się stało!

Emil łaził tu i tam i wypatrywał Alfreda. Przechodząc obok namiotu brodatej damy, ujrzał przez szparę, że siedzi ona i liczy pieniądze. Chciała zapewne sprawdzić, ile zarobiła na swojej brodzie w ciągu jednej błogosławionej niedzieli w Hultsfred.

Nie było tego mało, uśmiechała się bowiem i gładziła z zadowoleniem brodę. Wtem spostrzegła Emila.

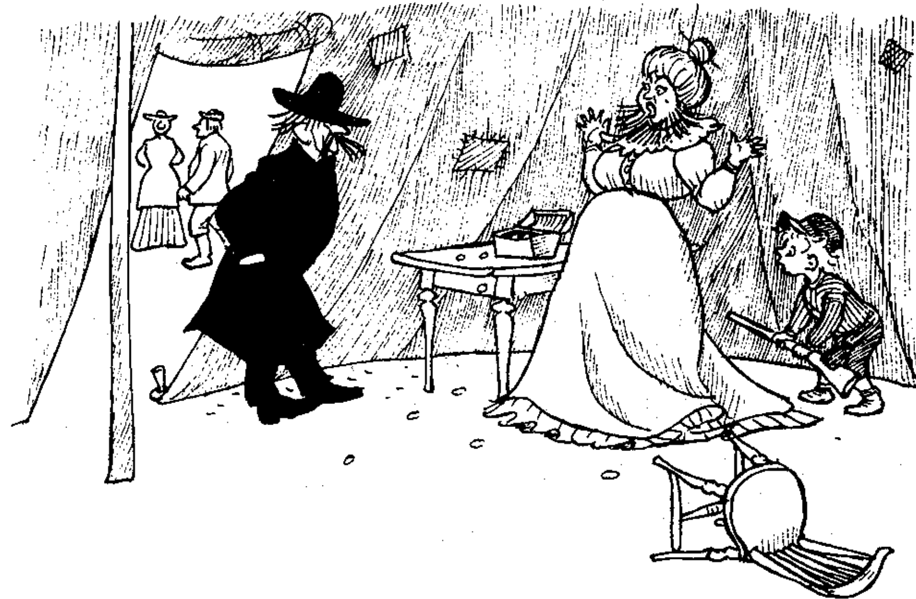
– Wejdź, chłopaczku! – zawołała. – Możesz popatrzeć na moją brodę zupełnie darmo, bo bardzo grzecznie wyglądasz.

Emil, co prawda, już się na tę brodę przedtem napatrzył, ale nie chciał odmawiać, skoro go zapraszano. A że mógł popatrzeć zupełnie darmo,

wszedł do namiotu ze swoją strzelbą i przyjrzał się brodatej damie tak za jakieś dwadzieścia pięć öre.

– W jaki sposób można wyhodować taką piękną brodę? – spytał.

Ale brodata pani nie zdążyła odpowiedzieć Emilowi, w tej samej chwili rozległ się bowiem straszliwy szept:



– Dawaj pieniądze, bo inaczej wyrwę ci brodę!

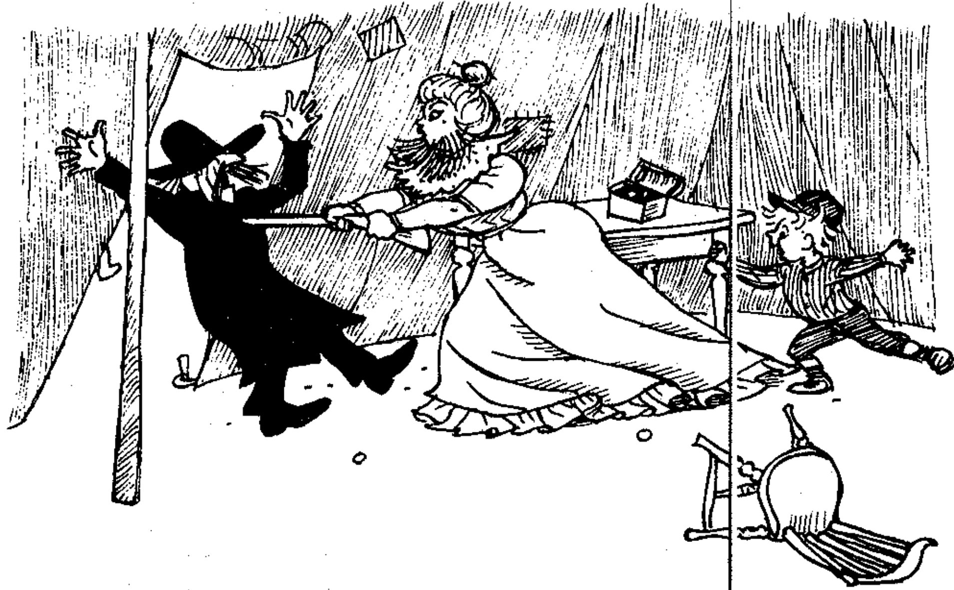
To był Wróbel. Niezauważony przez nich wślizgnął się do namiotu.

Twarz brodatej damy zbielała; rzecz jasna, w tych miejscach, gdzie nie było brody. Miała właśnie,

biedaczka, oddać wszystkie pieniądze Wróblowi, kiedy Emil szepnął:

– Weź moją strzelbę!

Brodata pani wzięła dubeltówkę, którą Emil sprytnie jej podsunął. W namiocie panował półmrok, więc nie można było dokładnie niczego zobaczyć. Brodata pani myślała, że to prawdziwa strzelba, z której można strzelać. A najlepsze ze wszystkiego, że... Wróbel też tak pomyślał.



– Ręce do góry, bo strzelam! – krzyknęła brodata pani. Wtedy i Wróblowi zbielała twarz. Wyciągnął ręce w górę i stał tak, trzęsąc się, podczas

gdy brodata pani wzywała policję tak donośnie, że słychać było w całej okolicy.

Przybyli policjanci, a potem już nikt nie widział Wróbla ani w Hultsfred, ani nigdzie indziej i skończyły się wszelkie kradzieże w Smalandii. Tak, tak to bywa! Brodata pani otrzymała wiele pochwał w „Dzienniku Smalandzkim", a także w „Kurierze



Hultsfredzkim" za ujęcie Wróbla. Ale nikt nie napisał słowa ani o Emilu, ani o jego strzelbie. Dlatego uważam, że już najwyższy czas, aby ktoś wyjawił, jak rzecz się miała naprawdę.

– Całe szczęście, że do Hultsfred wziąłem ze sobą moją cyklistówkę i moją dubeltówkę – powiedział Emil, gdy policjanci odprowadzali Wróbla do paki.

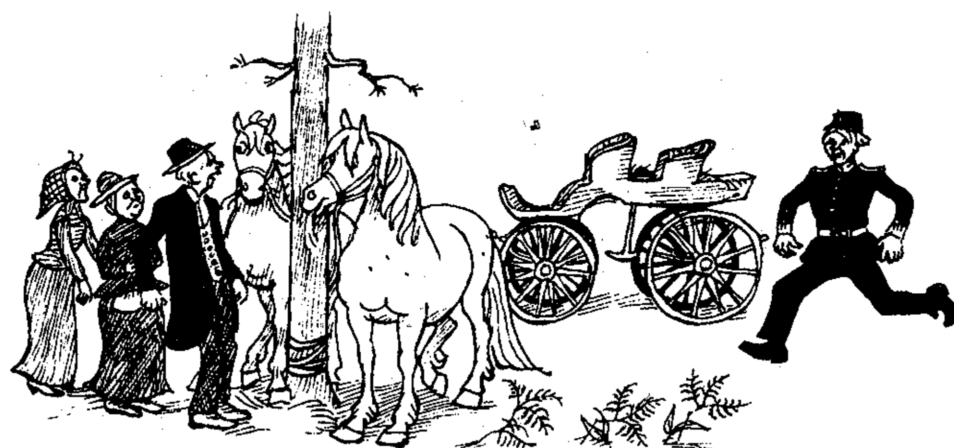
– Tak, jesteś dzielnym chłopaczkiem – rzekła brodata pani. – I dlatego możesz patrzeć na moją brodę, ile tylko chcesz, zupełnie darmo.

Ale Emil był zmęczony. Nie chciał już ani patrzeć na brodę, ani hulać. Chciało mu się spać. Bo nad doliną Hultsfred zaczynało się zmierzchać. Pomyśleć tylko, cały długi dzień minął, a Emil nie znalazł Alfreda! Tatuś Emila, mama Emila i Lina także byli zmęczeni. Szukali i szukali Emila, a Lina szukała i szukała Alfreda, lecz teraz już żadne z nich nie miało siły szukać nikogo.

– Och, moje nogi! – jęknęła mama Emila, a tatuś powiedział z goryczą:

– Tak, tak, wesoło jest na takich festynach. Chodź, jedziemy do domu, do Katthult, nie pozostaje nam nic innego.

Powlekli się więc na skraj lasu, aby zaprząc konia i wyruszyć w drogę. I wówczas zobaczyli



Gwiazdkę uwiązaną do tego samego drzewa co Markus i żującą siano.

Mama Emila zaczęła płakać.

– Och, gdzie jest mój Emilek? – szlochała.

Ale Lina wzruszyła ramionami.

– On to już nie robi nic innego, tylko gdzieś psoci. To prawdziwy nicpoń – orzekła.

Wówczas usłyszeli, że ktoś nadbiega, ktoś bardzo zdyszany. Był to Alfred.



– Gdzie jest Emil? – wysapał. – Szukałem go cały dzień.

– A mnie to zupełnie nie obchodzi, gdzie on jest – oświadczyła Lina. Następnie wlazła na bryczkę, żeby jechać do domu. I pomyślcie, nadepnęła na Emila!

W bryczce było jeszcze trochę siana i na tym to sianie leżał Emil i spał. Ale gdy Lina nadepnęła na niego, zbudził się. Spojrzał i zobaczył, kto stoi obok w niebieskim mundurze i kto jest taki zdyszany. Wyciągnął rękę i objął Alfreda za szyję.

– Ach, Alfred, jesteś – powiedział i spokojnie zasnął.

Potem wszyscy razem ruszyli w drogę do Katthult. Markus musiał ich ciągnąć, a Gwiazdka człapała z tyłu, uwiązana do bryczki. Emil budził się



od czasu do czasu. Widział ciemny las i jasne letnie niebo, czuł zapach siana, konia i nocy. Poza tym jednak spał przez całą drogę i śnił, że Alfred już wkrótce powróci do Katthult, do domu i do niego. Tak też miało być w istocie.

To był 8 lipca, kiedy Emil hulał na równinie Hultsfred. Zgadnijcie, czy jeszcze ktoś szukał Emila tego dnia? Spytajcie Mai-Borówki! Zresztą nie, tego lepiej nie robić, bo Maja, kiedy się o tym wspomni, dostaje zwykle na rękach gęsiej skórki z czerwonymi krostkami, które swędzą i długo nie chcą zniknąć.

Dowiedziałeś się więc, co Emil robił 7 marca, 22 maja, 10 czerwca, a także 8 lipca, ale kalendarz ma jeszcze wiele innych dni dla takich, którzy mają ochotę psocić, a Emil chciał psocić bez mała co dzień, jak cały rok długi. Szczególnie zaś 19 sierpnia, 11 października i 30 listopada.

Cha, cha, cha, nie mogę się powstrzymać od śmiechu, kiedy sobie przypomnę, co zrobił 3 listopada, ale tego nie powiem, obiecałam mamie Emila. Chociaż po tym to właśnie wyczynie mieszkańcy Lönnebergi rozpoczęli zbiórkę... Żal im było Svenssonów z Katthult. Dlatego też złożyli się po pięćdziesiąt öre każdy i z pieniędzmi w węzełku przyszli do mamy Emila.

– Może tyle wystarczy, żebyście mogli wysłać Emila do Ameryki – powiedzieli.

Tak, to byłoby pięknie! Wysłać Emila do Ameryki... Kto wie, jakiego przewodniczącego rady gminnej mieliby wówczas? Mam na myśli, rzecz jasna, o wiele późniejsze lata.

Na szczęście mama Emila nie zgodziła się na podobnie głupią propozycję. Rozgniewana cisnęła węzełek tak, że pieniądze rozsypały się po całej Lönneberdze.



– Emil jest grzecznym chłopczykiem – powiedziała. – I kochamy go takiego, jaki jest.

Była jednak trochę niespokojna o Emila. Mamy zwykle bywają niespokojne, kiedy ludzie przychodzą i skarżą się na ich dzieci. Wieczorem więc,

gdy Emil leżał w łóżku w swojej cyklistówce i ze swoją dubeltówką, usiadła przy nim na chwilę.

– Emilku! – powiedziała. – Wkrótce będziesz duży i zaczniesz chodzić do szkoły. Martwię się, co z tobą będzie. Jesteś takim łobuzem i wciąż psocisz!

Emil ze swoimi okrągłymi, niebieskimi oczami i jasnymi, kędzierzawymi włosami wyglądał jak aniołek.

– Halli-dajen halli-dalli-da! – zawołał, bo takiego gadania wolał nie słuchać.

– Emilku, jak myślisz, co to będzie, kiedy pójdziesz do szkoły? – zapytała mama surowo.

– Dobrze będzie – odpowiedział Emil. – Na pewno przestanę psocić, kiedy pójdę do szkoły.

Mama Emila westchnęła.

– Tak, tak – powiedziała, wstając. – Miejmy nadzieję!

Wówczas Emil wytknął głowę zza poduszki, uśmiechnął się słodko jak aniołek i dodał:

– Ale to nic pewnego!



Spis treści

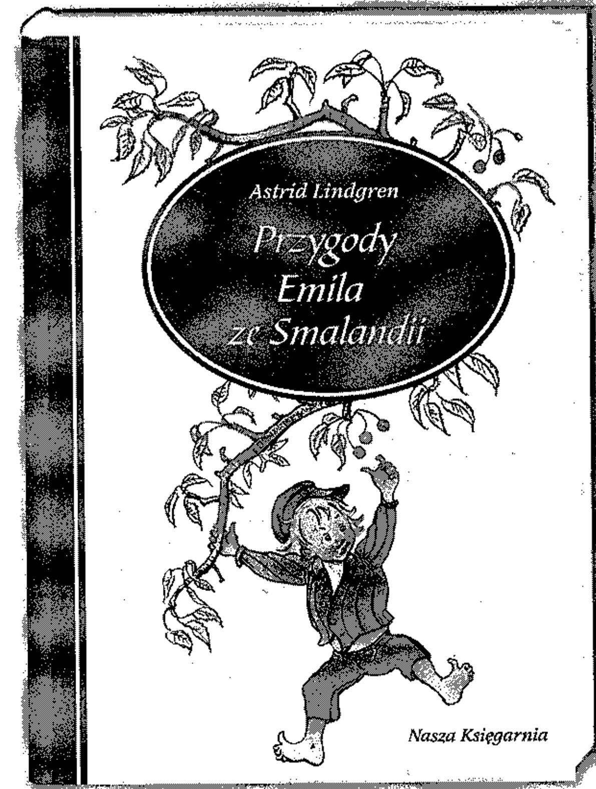
Wtorek 22 maja,
kiedy to Emil wsadził głowę do wazy z rosołem . . .12

Niedziela 10 czerwca,
kiedy to Emil wciągnął na maszt małą Idę 32

Niedziela 8 lipca,
kiedy to Emil hulał na równinie Hultsfred 63



Wszystkie części przygód Emila ze Smalandii w jednym tomie



Lektura bez ograniczeń wiekowych.
Nawet największego ponuraka
wprawi w świetny humor!
Po raz pierwszy w Polsce – i tylko
w „Naszej Księgarni"!